



Grey Scale #13



DANES-PICTA.COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



ZAKŁAD POLITYKI SPOŁECZNEJ
SZKOŁY GŁÓWNEJ HANDLOWEJ W WARSZAWIE

STANISŁAW RYCHLIŃSKI

PRZEOBRAŻENIA SPOŁECZNE W STANACH ZJEDNOCZONYCH NA TLE URBANIZACJI

WYDANE Z ZASIŁKU FUNDUSZU KULTURY NARODOWEJ



WARSZAWA 1937

NAKŁADEM SZKOŁY GŁÓWNEJ HANDLOWEJ
W WARSZAWIE, UL. RAKOWIECKA 6



ZAKŁAD POLITYKI SPOŁECZNEJ
SZKOŁY GŁÓWNEJ HANDLOWEJ W WARSZAWIE

STANISŁAW RYCHLIŃSKI

PRZEOBRAŻENIA SPOŁECZNE
W STANACH ZJEDNOCZONYCH
NA TLE URBANIZACJI

WYDANE Z ZASIĘKU FUNDUSZU KULTURY NARODOWEJ



WARSZAWA 1937
NAKŁADEM SZKOŁY GŁÓWNEJ HANDLOWEJ
W WARSZAWIE, UL. RAKOWIECKA 6

ZAKŁAD POLITYKI SPOŁECZNEJ
SZKOŁY GŁÓWNEJ HANDLOWEJ W WARSZAWIE

STANISŁAW RYCHLIŃSKI

PRZEOBRAŻENIA SPOŁECZNE
W STANACH ZJEDNOCZONYCH
NA TLE URBANIZACJI

WYDANE Z ZASIĘKU FUNDUSZU KULTURY NARODOWEJ



WARSZAWA 1937
NAKŁADEM SZKOŁY GŁÓWNEJ HANDLOWEJ
W WARSZAWIE, UL. RAKOWIECKA 6

DRUKARNIA
M. STARZYŃSKI I S-KA
WARSZAWA, UL. CHŁODNA Nr. 37
TELEFON 669-46

30301/2



UWAGI WSTĘPNE

Polityka społeczna jest nauką o celowym przeobrażaniu warunków życia jednostek i zbiorowości ludzkich dla sparaliżowania całokształtu bezpośrednich i pośrednich ujemnych skutków ustroju gospodarczego. Od swoich narodzin, jako działu ekonomii politycznej, odbyła ona już poważną ewolucję. Zerwała ze schematyzmem, jakim odznaczała się w czasie, gdy całkowicie opierała się na wywodach teorii ekonomicznej, z grubsza tylko skleconych z założeniami filantropii i sprawiedliwości społecznej. Badania statystyczne, prowadzone od połowy XIX w., zaczynają systematycznie wzbogacać politykę społeczną, pozwalając w całej rozciągłości zbadać materialne skutki współczesnego industrializmu.

Powoli z liczb i z opisów faktów rodzi się socjografia współczesna. Chodzi tu zwłaszcza o tę jej część, która dotyczy stosunków przemysłowych. Posiada ona jednak, obok wielkich niewątpliwie zasług, dwie słabe strony, które odbiły się w następstwie na dalszym rozwoju konstrukcyj myślowych polityki społecznej. Przede wszystkim skupia całą uwagę na faktach, związanych z najbardziej rażącymi niesprawiedliwościami społecznymi, a więc wyłącznie niemal na położeniu robotników fabrycznych (ostatnio zajęła się losem innych kategorii pracowników, jak chałupników, pracowników umysłowych, zaczyna także interesować się i drob-

nym mieszczaństwem). Powtórę zarówno statystyka, jak i powierzchowny opis mogą uchwycić przeważnie tylko zjawiska natury materialnej, wyjątkowo zaś tylko najbardziej rzucające się w oczy fakty z zakresu kultury i przeobrażeń społecznych.

Przemiany psychiczne uchodzą niemal zupełnie uwagi, co najwyżej budzą refleksje niezwykle płytkie i nieoświeclające właściwej treści postępującej w bardzo szybkim tempie przebudowy duchowej człowieka współczesnego, a zwłaszcza jego stosunku do wszelkich więzi społecznych. Nie znając kierunku tych przeobrażeń, dokonywujących się pod wpływem dynamiki zmian ustroju gospodarczego, nie da się właściwie pomyśleć celowe przekształcanie warunków bytu jednostek i zbiorowości w myśl konkretnych ideałów rzetelnie społecznych. Ideały te bowiem pozostaną zawieszona w próżni, w abstrakcji bez powiązania z pragnieniami, tęsknotami, istotnymi potrzebami równowagi i harmonii duchowej tych, dla których dobra się je stwarza. Dlatego nawet pozornie odległe dociekania socjologiczne mogą przynieść znaczne korzyści polityce społecznej, jeżeli tylko zostaną podjęte w konsekwentnym zamiarze poszukiwania materiałów do konstruowania ideałów celowych przeobrażeń istniejącego układu stosunków. Takie właśnie zadanie ma na widoku ten skromny przyczynek.

Polityka społeczna zajmowała się dotychczas głównie objawami patologii społecznej, wyrastającymi bezpośrednio z nierówności w zakresie podziału własności i dochodu społecznego, słowem z nędzy i pauperyzmu. Jest to oczywiście rdzeń bolączek społecznego ustroju społecznego. Niemniej jednak usunięcie niedostatku nie może doprowadzić samo przez się do uzdrowienia struktury społecznej. Po prostu dlatego, że nie

tylko w nędzy, ale w całokształcie warunków bytu tkwią pierwiastki działające destrukcyjnie na jednostkę i na jej życie w zbiorowości.

Dla polityka społecznego jest niezmiernie ważnym wyodrębnienie ujemnych skutków ustroju industrialnego, wynikających z nędzy, oraz tych, które nie wynikają bezpośrednio z niesprawiedliwości społecznych. Tylko na tej drodze da się uchwycić całokształt przeobrażeń, z którymi musi liczyć się reformator społeczny.

Druga kategoria skutków dokonywujących się przemian gospodarczych uwydatnia się ze szczególną mocą u warstw ludności średniozamożnej, nie przedstawiających sobą w zasadzie bezpośredniego obiektu polityki społecznej. Niemniej postawy, zrodzone w sferach mieszczańskich, stają się w coraz większym stopniu wzorami dla warstw ludowych, naśladowanych je nie raz niewolniczo.

W tym krótkim szkicu starałem się uchwycić przemiany, jakim uległo w ciągu ostatnich lat kilkunastu mieszczaństwo amerykańskie. W ślad za tymi przeobrażeniami postępuje ewolucja duchowa szerokich mas, dla których mieszczaństwo stwarza wzory do naśladowania, zwłaszcza w kraju takim, jak Stany Zjednoczone, w którym nie zarysowują się w świadomości tych mas żadne różnice klasowe, natomiast snobizm indywidualistycznego awansu społecznego jest nierównie silniejszy, niż w powolniej demokratyzującej się Europie.

W dociekaniach moich wysuwałem na plan pierwszy całokształt przemian, jakie dokonywują się w związku z przeobrażaniem się środowiska, zarówno materialnego, jak i duchowego, w którym działa jednostka ludzka.

Żyjemy w dobie ekspansji kultury miejskiej, ściślej mówiąc wielkomiejskiej. Złożony aparat zmecha-

nizowanej techniki społecznych stosunków gospodarczych zapuszcza coraz głębsze korzenie w życie jednostek i zbiorowości ludzkich. Więzie uczuciowe, łączące ze sobą ludzi, poszukiwania oddźwięków społecznych¹ zostają zepchnięte na plan dalszy przez powiązanie pozornie swobodne, a w rzeczywistości niemal przymusowe siecią zależności gospodarczych.

Oczywiście, więź rzeczowa, zespalająca ludzi w gromady, ma charakter niemal odwieczny: występuje z chwilą przejścia od ustroju rodowego do terytorialnego². Niemniej jednak w gospodarce naturalnej lub we wczesnych fazach gospodarki towarowo-pieniężnej elementy ściśle rzeczowe nie stanowią siły, która niszczy żywe pierwiastki zbiorowe, przeciwnie, stają się trwałą podstawą tradycyjnego ustroju społecznego.

Inaczej kształtują się stosunki w dobie industrializmu. Więź rzeczowa bierze niejako górę nad człowiekiem. Kalkulacja korzyści materialnych wypełnia coraz szczelniej psychikę ludzką, przygłusza tęsknoty społeczne. Rośnie osamotnienie, wynikające z porwania na strzępy tradycyjnych więzi społecznych, których nie mogą zastąpić żadne inne nowe wytwory życia zbiorowego. Warunki bytu materialnego, środowisko przestrzenne, płynność zespołów ludzkich i kultura wielkiego miasta nie sprzyjają formowaniu się trwałych, zwarłych grup i społeczności. Równocześnie jednostka ulega psychicznie wyjałowieniu społecznemu, t. zn. traci zdolność do nawiązywania żywych bezpośrednich stosunków ze zbiorowością w płaszczyźnie harmonii uczuciowej.

Dawne formy współżycia mogą pozornie przetrwać ten kryzys, lecz niknie ich treść, stają się powłokami, które przestały kryć w sobie jakąkolwiek zawartość w sensie społecznym. Jako takie puste powłoki mogą

być tolerowane przez tych, którzy posługują się owymi wygasłymi symbolami. Okazują się nawet bardzo pożądane dla tych samych ludzi, którzy nie potrafią już wlać w nie życia.

Te procesy jałowienia społecznego i zanikania treści społecznych dokonywują się przede wszystkim na bruku wielkich miast, t. j. w środowisku, w którym wielki kapitalizm osiąga najwyższy stopień nasycenia³. Badanie zmian społecznych, towarzyszących przejściu ludności do środowiska wielkomiejskiego, stanowi jedno z „kluczowych” zagadnień współczesnej socjologii.

Zagadnienie to nie jest jednak tak łatwe do uchwycenia, jakby się na pierwszy rzut oka wydawało. Przede wszystkim, jeśli chodzi o środowisko wielkomiejskie, to do niedawna maszyna i udoskonalenia techniczne nie wnikały jeszcze tak głęboko w życie codzienne mieszkańca miasta, a zwłaszcza do jego kulturalnego środowiska. Pozwalało to na utrzymanie wielu form życia małomiasteczkowego, a nawet wiejskiego.

W krajach zachodu Europy masowe przejście do życia miejskiego rozpoczęło się w końcu w. XVIII oraz w pierwszej połowie XIX w., t. j. w okresie, kiedy wielkie miasto nie przekształcało jeszcze z taką mocą środowiska społecznego przybyszów z mniejszych skupień ludności. Wiele procesów, nie wynikających bezpośrednio z warunków pracy proletariatu (praca fabryczna, zatrudnienie kobiet i dzieci itp. oraz pauperyzm) i nie wywołujących natychmiastowego, brutalnego poszarpania dotychczasowych tradycyjnych więzi społecznych, nie posiadało przebiegu katastrofalnego, odbywało się powoli: dokonywało się w ciągu paru pokoleń. Istnienie starej kultury mieszczańskiej, z którą przybysze stykali się w mieście, i w którą starała się ich wprowadzić szkoła, oraz książka, łagodziło również

niektóre kryzysy i znakomicie ułatwiało w swoim czasie adaptację psychiczną.

Dopiero wielka fala napływu ludności do miast po wojnie światowej stwarza bardziej wyraziste oblicze procesu urbanizacji wobec jednoczesnego, gwałtownego mechanizowania się środowiska wielkomiejskiego⁴. I tu jednak trudno wyodrębnić procesy doby obecnej od dotychczas narosłych zasobów kultury i form współżycia, które są wynikiem dostosowywania się do otoczenia wielkiego miasta paru pokoleń stałych jego mieszkańców, przewyższających liczebnie nowych przybyszów i asymilujących ich w szybkim tempie. W tych warunkach również narastająca nowa kultura wielkomiejska, oparta wyłącznie niemal na maszynie i na zdemokratyzowanym spożyciu masowym dóbr kulturalnych, traci wyrazistość swoich konturów. Zasadniczy zrąb przebiegów gospodarczych, demograficznych i społecznych ulega zaciemnieniu.

Analiza socjologiczna wszystkich tych procesów staje się niezwykle uciążliwa: wymaga subtelnego wnikiwania w mnóstwo bardzo odległych od siebie zjawisk, rekonstruowania przemian dawno już dokonanych a bardzo słabo oświetlonych przez dotychczasowe badania z zakresu historii społecznej. Złożoność zjawisk i brak odpowiedniej dokumentacji skłania do poszukiwań materiałów łatwiejszych i dostępniejszych po to, by je wziąć na „pierwszy ogień” zanim przyjdzie czas na trudniejsze dociekania.

Oczywiście, wzrok zwraca się odrazu ku tym krajom, w których zapóźnienie rozwoju stosunków gospodarczych i kulturalnych sprawiło, że zarówno tłumna wędrówka do miast, jak i przenikanie kultury społecznej do mas wraz ze wszystkimi skutkami społecznymi tych procesów — są zjawiskami ostatniej niemal doby

o wciąż jeszcze rosnącym nasileniu. Tak na przykład dzieje się w Polsce.

Jednak kraje o tym właśnie zrębie, co nasz, posiadają pod kątem widzenia rozważań ściśle teoretycznych dwie zasadnicze wady. Przede wszystkim występuje mnogość pierwiastków przypadkowych, obcych tendencjom rozwojowym wielkiego industrializmu, które to momenty niezmiernie komplikują i utrudniają analizę. Po wtóre w życiu gospodarczym tkwi wiele zacołania zarówno w postaci składników statycznych, jak i współistnienia form bardzo postępowych obok bardzo przestarzałych. Wynika z tego częste załamywanie się żywiołowości procesów i ich beznadziejne dla badacza pogmatwanie.

Pod kątem widzenia polityki społecznej i świadomej swoich celów polityki urbanistycznej zbadanie stosunków polskich posiada bez wątpienia najdonioślejsze dla nas znaczenie, pozwala bowiem oprzeć doraźne posunięcia praktyczne na głębszej analizie teoretycznej. Zawsze nieodzownym jest jednak wyprzedzić poszukiwania, dotyczące bardziej złożonych kompleksów zjawisk, próbnym niejako badaniem pewnych jasnych wątków przemian społecznych w środowiskach o silnej linii dynamicznego rozwoju stosunków.

W tej właśnie dziedzinie niezwykle ważne jest za-
stanowienie się nad przemianami, jakie dokonały się w Stanach Zjednoczonych w ciągu ostatnich paru dekad. Jakkolwiek warunki amerykańskie bardzo znacznie odbiegają od europejskich, zarówno w płaszczyźnie gospodarczej, jak demograficznej, kulturalnej, oraz społecznej, nigdzie przecież zwartość i powiązanie funkcjonalne procesów nie wystąpi z taką mocą. Nie należy bezsprzecznie z doświadczeń amerykańskich wysnuwać bezpośrednich wniosków praktycznych. Jednak-

że układ stosunków za Atlantykiem wyjaśnia istotę mnóstwa przebiegów, które w warunkach europejskich odznaczają się zbyt wielką złożonością i są zbyt splątane, by można było je łatwo rozwikłać. Należy przeto przystępować do nich już z pewną znajomością prostszych, chociaż w odmiennych stosunkach przebiegających, procesów amerykańskich. Nadto nie można przecząć faktu, że kultura amerykańska coraz silniej wpływa na kształtowanie się środowisk wielkomiejskich Starożytności.

W Stanach Zjednoczonych możemy odróżnić dwie odrębne fazy urbanizacji. Pierwsza z nich rozpoczęła się w czasie wojny cywilnej i trwała do wielkiej wojny. Jest to urbanizacja związana z rozwojem ośrodków przemysłowych, nie obejmująca prawie (w przeciwieństwie do krajów Europy) ludności miejscowej (czyli, jak cię utarło nazywać ją „rdzennej“, t. j. białych, pochodzących od kolonistów amerykańskich w. XVII i początku XVIII w., względnie od tych przybyszów europejskich, którzy zdołali się w pełni zamerykanizować. Mamy tu do czynienia z procesami urbanizacji imigranta-chłopa, względnie drobnego mieszczanina europejskiego, lecz odbywającej się w znacznie odmiennych warunkach, niż w Starożytności. Zagadnienie to ma bogatą literaturę, jakkolwiek jedynie niektóre jego momenty są należycie oświetlone⁵.

Moje zainteresowanie w pracy tej ogranicza się wyłącznie do drugiej fali wędrówki do miast, która wezbrała na dobre dopiero w czasie wojny europejskiej wraz z ekspansją życia gospodarczego w dobie wyjątkowych koniunktur wojennych i powojennej prosperity. W wędrówce tej uczestniczyli zarówno „rdzenni“ Amerykanie, jak i Kanadyjczycy, Murzyni i Meksykanie. Będę zajmował się tylko pierwszą grupą — t. j.

według nomenklatury statystycznej „białymi urodzonymi w kraju z rodziców miejscowych“ (native whites of native parentage). Rozważania będą dotyczyły okresu stosunkowo krótkiego, mniej więcej lat piętnastu — 1914 — 1929, t. j. od wybuchu wojny do załamania się „prosperity“.

Mamy tu do czynienia ze zjawiskiem niezwykle ciekawym. Na bruk wielkich miast przenosi się ludność, która z dawna żyła w ramach gospodarki kapitalistycznej. Przemieszkowała jednak w niewielkich skupieniach, w atmosferze ustabilizowanych form społecznych oraz intensywnego życia zbiorowego, które przewyżczało niejako rzeczowość więzi międzyludzkich w społeczeństwie amerykańskim, zorganizowanym wyłącznie niemal pod znakiem wspólnych interesów ekonomicznych. Dopiero przejście na grunt wielkomiejski powoduje przyspieszony rozkład dotychczasowych więzów, a bardziej jeszcze może wyjaławia z pierwiastków rzetelnie społecznych intensywniejsze współżycie zbiorowe.

Tego rodzaju układ stosunków daje wprost nieocenione materiały dla analizy socjologicznej narastania dystansów psychicznych między ludźmi i wiotczenia łączących ich więzi.

Pod względem metody jest to praca socjologiczna, to znaczy, sięgająca do podstaw więzi społecznej. Starałem się usunąć na plan dalszy te zjawiska, które warunkują tylko procesy społeczne, lecz nie stanowią ich treści. Czyniłem to w tym celu, by dojść do czystych zjawisk socjologicznych, a nie operować mieszaniną faktów, którą posługuje się socjografia przy uogólnieniach, postępując zresztą w dobrej niewątpliwie wierze, ale z opłakanymi wynikami.

Procesy społeczne, które ujmuję jako procesy psychiki (świadomej czy nieświadomej) jednostek **zaan-**

gażowanych we współżyciu zbiorowym⁶, zależą w zasadniczych swoich liniach od przekształceń w zakresie środowiska materialnego i związanych z tym zmian charakteru wpływów duchowych, płynących z otoczenia. Wszelkie gwałtowne przemiany stosunków gospodarczych, jeżeli nawet nie wyrywają fizycznie jednostki ze środowiska (zmuszając ją do migracji), wywierają natychmiastowy oddźwięk w układzie stosunków międzyludzkich, nadwątłając albo wręcz rozbijając cały ład wewnętrzny jednostki i na tym tle zmieniając jej ustosunkowanie do otoczenia natychmiast, albo z pewnym opóźnieniem. Każde przeobrażenie gospodarcze prowadzi wskutek tego prędzej, czy później do przekształceń więzi społecznej.

Te ogólne założenia tak zwanego materializmu dziejowego uważam za niesłuchanie cenne we wszelkiej analizie zmian społecznych⁷. Zależności te występują wyraźnie zwłaszcza w środowisku amerykańskim, w którym cała organizacja społeczna i państwowa służy w zasadzie poparciu działalności indywidualnej na polu ekonomicznym.

Determinizm przemian gospodarczych jest jednak zupełnie swoisty. Niema tu mowy o kształtowaniu ad hoc jakiejś abstrakcyjnej, schematycznej „nadbudowy” społecznej. Każdy proces przeobrażeń zewnętrznych ulega załamaniu poprzez pryzmat sumienia indywidualnego, jak na to zwrócił uwagę E. Abramowski⁸, nie poddawszy zresztą głębszej analizie struktury wewnętrznej owego „sumienia”. Na „sumienie” to zaś składa się właściwie cały złożony ustrój równowagi wewnętrznej psychiki ludzkiej z jej powściągami, załamaniem i kompensatami.

Jednostka dąży do utrzymania tej równowagi. W ustrojach społecznych ustabilizowanych o więzi trady-

cyjnej — kontakt ze współczłonkami zwartej grupy (np. rodziny, rodu, cechu itp.), czy luźniejszej nieco społeczności (np. sąsiedztwa, parafii itp.) łagodzi większość katastrof wewnętrznych, wynikających z niedopasowania psychiki jednostki do warunków, które stwarza życie, to znaczy twarde łożysko bytu codziennego. Również żywe środowisko społeczne kompensuje większość tych represyj, które samo stwarza przez to, że narzuca nakazy, krępujące dla tych, czy innych powodów pełne wyżycie jednostki w niektórych dziedzinach, zwłaszcza w dziedzinie erotycznej. A więc na przykład intensywne współżycie towarzyskie w środowisku sąsiedzkim łagodzi skutki represyj erotycznych, na których straży stoi etyka purytańska, wyznawana przez zbiorowość sąsiedzką.

Skoro gwałtowna zmiana warunków gospodarczych i otoczenia materialnego rozbija zwartość demograficzną istniejących grup, podkopie ich celowość ekonomiczną, stworzy inne bardziej nęcące pola do wyżycia się — powstaje bunt zduszonych w obcowaniu zbiorowym tych stron jaźni, które nie mogą już znaleźć kompensat w dotychczasowych płaszczyznach zbiorowego współżycia. Rodzi się niesłychany zamęt postaw, wynikający z dojścia do głosu nieskojarzonych ze sobą odruchów.

Głód współżycia społecznego nie zanika całkowicie w tym chaosie. Wręcz przeciwnie nasilenie jego rośnie, w miarę, jak nie znajduje zaspokojenia w trwałych formach współżycia, które wytworzyłyby dla jednostki jakiś zwarty, jednolity system postępowania, a zwłaszcza reakcyj na przeobrażenia, zachodzące w świecie materialnym. Słowem, równowaga wewnętrzna osobników ludzkich zostaje głęboko zachwiana. Odebrane zostają również środki, które umożliwiały dawniej automatyczny powrót do równowagi. W tym właśnie tkwi

jedno z podstawowych zagadnień tragedii człowieka społecznego, przejawiające się nazewnątrz w tysiącnych postaciach tak różnorodnych, że częstokroć wydaje się niemożliwym sprowadzić je do jakiegoś wspólnego mianownika.

Dodajmy, że chodzi tu nie o wyjątkowe jednostki, które zawsze, w ciągu całych dziejów ludzkości, odznaczały się pewnym brakiem stabilizacji duchowej i trwałego umiejscowienia w zorganizowanym środowisku społecznym. Ale w grę tu wchodzi masy, niejako wyrwane z atmosfery równowagi społecznej, która trwała przez długie stulecia, mimo przeobrażeń świata materialnego.

Niewątpliwie zapanowałby obecnie w świecie społecznym całkowity zamęt, zupełny indeterminizm, gdyby nie dokonywało się upodobnienie psychiczne jednostek pod wpływem standaryzacji całego życia i rosnącej jednolitości warunków gospodarczych i kulturalnych. Wskutek tego mechanicznego zacierania różnic treści duchowych reakcje przebiegają zupełnie niemal jednakowo w szerokich masach ludzi, wówczas zwłaszcza, gdy wywołują je momenty ściśle gospodarcze. Nikną jednocześnie powściągi natury społecznej, które częstokroć stawały niejako pomiędzy faktem gospodarczym a psychiką i działaniem ludzkim.

Rośnie sforność psychiczna wobec nakazów, płynących ze świata materialnego. W prostszych sytuacjach niema większego znaczenia ów zamęt reakcyj uczuciowych, który każda jednostka przeżywa na swój sposób w społeczeństwie zindywidualizowanym, pozbawionym prostych, silnych nakazów społecznych.

Wreszcie dochodzi do tak silnego zorganizowania i ujednolajnienia życia, że pole do głębszych przeżyć indywidualnych kurczy się, zanika niemal zupełnie. Ró-

wnolegle z obumieraniem społecznym człowiek zaczyna obumierać duchowo.

W pracy niniejszej pragnąłem poruszyć te najważniejsze zagadnienia przeobrażeń duchowych człowieka, jako członka zbiorowości ludzkich, pod wpływem „drugiej rewolucji gospodarczej“ i urbanizacji, która dokonała się w Ameryce⁹.

Praca opiera się zasadniczo na materiałach, które zebrałem (raczej zresztą na marginesie innych dociekań) w czasie mojego pobytu w Stanach Zjednoczonych w 1933 r. Możliwość spędzenia roku w tym kraju zawdzięczam Fundacji Rockefellera, której należy się za to ode mnie szczerza wdzięczność.

Rozdział I

AMERYKA DOBY PARTYKULARZA

1. *Geneza historyczna partykularza*

Od chwili powstania kolonie angielskie w Ameryce Północnej kształtowały się zupełnie odmiennie w swoich północnych i południowych połaciach. Na południu rolnictwo panuje niepodzielnie. Wielkie plantacje, posługujące się siłą niewolniczą, odtwarzają wzory dawnych latyfundiów rzymskich.

Nie na południu jednak, nie na wielkich przestrzeniach ziemi żyznej, ale słabo zaludnionej, wyrosły zręby społeczne przyszłej wolnej republiki amerykańskiej. Południe dostarczyło wielu jednostek, które pokierowały losami demokracji Nowego Świata, lecz podstawowe pierwiastki duszy amerykańskiej wykształciły się na północy, przede wszystkim w koloniach Nowej Anglii. Wchodził tu w grę splot wielu czynników, zarówno geograficznych, jak form organizacji społecznej, wyrosłej z prześladowań religijnych w Europie.

Okolice zatoki Massachussets, w których rozsiadły się kolonie dysydentów angielskich, były mało urodzajne, a klimat miał surowy. Rolnictwo stało się głównym zajęciem, ale było to rolnictwo, podejmowane na bardzo skromną skalę¹⁰. Przybysze rekrutowali się również z odmiennych elementów, niż awanturniczy kawalerowie wirgińscy, przeważnie z pośród drobnych rzemieślników.

ników, kupców i rolników, których z Anglii wyganiały przede wszystkim prześladowania religijne i polityczne ze strony państwa, kościoła urzędowego i magnaterii.

Wyprawiali się za ocean zorganizowanymi partiami i osiadali w większych osadach pod ścisłą kontrolą Kompanii Zatoki Massachussetts, znajdującej się w rękach potężnej grupy dysydentów. Aczkolwiek przedsiębiorczy i zabiegliwi w swoich osobistych sprawach doczesnych, trzymali się zawsze zwartymi grupami, których trzon stanowiła gmina wyznaniowa.

Pomimo wczesnego wytworzenia się różnic społecznych, nieomal stanowych (władza pozostawała w rękach grupy oligarchicznej, bowiem pierwsi przybysze dysydenci, prześladowani w Anglii, wytworzyli tu warstwę uprzywilejowaną), w miasteczkach nowoangielskich wykształcał się swoisty demokratyzm zwartych grup obywateli, zwłaszcza obywateli pierwszej klasy, należących do oligarchii rządzącej. Gminy korzystały z szerokich swobód. Jakkolwiek Kompania Massachussetts przekształciła się w szybkim tempie w teokratyczne państwo o zakusach absolutystycznych, jednakże w kraju słabo zaludnionym, o terenie sfalowanym i bagnistym silna centralizacja państwowa była niemożliwa. Każda nowopowstająca gmina tworzyła sobie własne prawa. Sprzyjały też temu pośrednio starania samej kompanii oraz gubernatorów królewskich, aby kolonizacja nie odbywała się chaotycznie. Posiadając całą wolną ziemię pod swoją zwierzchnością, władze wydawały pozwolenia na tworzenie nowych osiedli tylko gromadkom purytanów, którzy tym sposobem stawali się przedsiębiorcami osadniczymi, ściągali kolonistów, tworzyli własny rząd na zasadzie otrzymanego przywileju.

Powstawały tedy odrazu zorganizowane wsie i mia-

steczka. Już to samo przez się miało doniosły wpływ na wyrobienie przyzwyczajęń do życia gromadnego.

W miasteczkach takich rządzi oligarchia, nieliczna, przeważnie ze sobą spokrewniona. Duchowni mają głos rozstrzygający we wszystkich sprawach świeckich. Starają się utrzymać w karbach całą społeczność miejscową, w której element awanturniczy jest bardzo licznie reprezentowany i wzrasta stale na sile w miarę, jak przybywają nowe transporty przybyszów, coraz słabiej związanych z pierwotnymi grupami purytańskimi.

Przymus fizyczny nie może jednak utrzymać się w warunkach amerykańskich: zbyt łatwo uwolnić się z pod przemocy, mając pod boki ogromne połacie ziemi dziewiczej, nęcące ku sobie jednostki, obdarzone żyłką awanturniczą. Organizatorowie demokracji purytańskiej starają się urobić swoich obywateli tak, by mocno wrosli w życie zamkniętej społeczności lokalnej. Rozbudowa szkolnictwa, które wpajało dogmaty surowej wiary kalwińskiej, miała to właśnie zadanie¹¹.

Bezwzględna etyka purytańska, prześladowająca surowo każde uchybienie od ustalonych zasad postępowania we współżyciu zbiorowym, nakładała swojego rodzaju gorset moralny. Krępował on, ale równocześnie stawał się nieodzownym dla utrzymania równowagi wewnętrznej odpowiednio urobionych obywateli gminy. Jednostka znajdowała pewność i mocne oparcie moralne w środowisku purytańskim. Poddawała się ograniczeniom swobody osobistej, ale otrzymywała wzamian poczucie siły, niezłomności, panowania nad warunkami otoczenia, tak trudnymi i zdradnymi w tym kraju dziewiczym i pełnym nieprzewidzianych przeszkód do pokonania.

Jakkolwiek wielką była władza duchownych, źródło jej zawsze spoczywało w zborze. Pomimo reakcyj-

nych zachceń różnych przywódców, z Winthropem na czele, kopiujących wzory feodalizmu oraz absolutyzmu angielskiego, coraz głębiej zapuszczało korzenie przekonanie, że wszelka władza pochodzi z dobrowolnej umowy jednostek. Nieliczna klika rządziła, lecz jeżeli nie w imieniu całego ludu, to w każdym razie dosyć znacznej grupy „ludzi wolnych“. Zresztą plebs został także wkrótce dopuszczony do głosu, wprowadzając tylko w zakresie spraw lokalnych, ale to właśnie rozszerzało podstawę miejscowej demokracji.

W miasteczkach i osadach Nowej Anglii, przeważnie rolniczych, rozrzuconych dosyć gęsto, lecz w kraju ciągle słabo zaludnionym, o złych drogach, wielu rzekach i mokradłach, a więc naogół żyjących raczej w odosobnieniu, wykształca się intensywna atmosfera kontaktów społecznych. Jednostka, urobiona odpowiednio przez cały system wychowawczy, tkwi całkowicie w środowisku nieustannego obcowania z otoczeniem, bez którego nie może wręcz istnieć. Purytanie osiągnęli swój cel: związali duchowo jednostkę z gminą, utrzymali poczucie solidarności, jedności z grupą. Cechy, właściwe zespołom prześladowanym za swoje przekonania, które powinny były zniknąć po opuszczeniu Anglii, w wolnym środowisku amerykańskim, zostały w ten sposób utrzymane.

Kierownicy państwa purytańskiego zdołali zapobiec niebezpieczeństwu rozprężenia zwartej grupy religijnej. Co najważniejsze, wpoili, początkowo niemal w drodze przymusu, potem łagodnymi środkami, nawyki życia gminnego. Wytworzyli prawzór amerykańskiego partykularza z jego wysokim stopniem „uspołecznienia“.

Oczywiście, poza momentami przymusu politycznego i religijnego, oraz zręcznej polityki wychowaw-

czej, już w miasteczku doby kolonialnej występują pierwiastki gospodarcze, które przyczyniają się w nie-małym stopniu do dalszego jeszcze zacieśniania więzów życia społecznego osiedla. W kraju mało żyznym i słabo ucywilizowanym pojawia się konieczność współpracy jednostek, dążących każda na swoją rękę do wzbogacenia się. Purytanie byli drobnymi mieszczanami na dorobku, z typową dla tej warstwy chciwością i oschłym indywidualizmem gospodarczym (dla których to właściwości, czyli „cnót“ w ich mniemaniu, poszukiwali uzasadnienia w swojej religii). Posiadali jednak zdolność doraźnego wytwarzania spółek dla eksploatacji możliwości handlowych. Świadczą o tym wymownie najróżnorodniejsze kompanie akcyjne angielskie w w. XVII.

W zamkniętej społeczności terytorialnej w Ameryce tym łatwiej powstaje klika, złożona z uprzywilejowanego „patrycjatu“, która nie dopuszcza do korzyści gospodarczych wszelkich osób postronnych. Taka klika wykształca jeszcze bardziej solidarność, wzmacnia purytański „esprit de corps“, którego podstawy wyrabiało już wychowanie, etyka i strach przed Jehową.

Dwa wieki małomiasteczkowej kultury kolonialnej, dwa wieki takiej monotonii wpływów społecznych, jakich nie znała Europa od czasu wygaśnięcia średnio-wieczna, pozostawiły niezmiernie głębokie ślady w psychice amerykańskiej. Kiedy z chwilą zakończenia walki o niepodległość ruszyły z Nowej Anglii już nie pojedyncze grupki, ale tłumy kolonistów ku zachodowi, w dolinę Ohio, odebraną Anglikom, wzory życia małomiasteczkowego powędrowały wraz z wychodźcami. Byli oni tak silni i zdyscyplinowani moralnie, że narzucili swą organizację osadnikom, pochodzącym z innych

kolonii, które nie posiadały odpowiednio wykształconych form organizacyjnych¹².

Kolonizacja, przekraczająca góry Alegańskie, była sprawą inicjatywy prywatnej i odbywała się w znacznym stopniu w drodze pionierki indywidualnej. Jednak pionierzy wędrują niezawsze zupełnie samotnie, zazwyczaj rodzinami, a nawet niekiedy grupami sąsiedzкими¹³. Osiadają również po części w osiedlach, a nie wyłącznie na fermach. Już od pierwszej fazy postępów tej kolonizacji datuje się rozwój ośrodków miejskich, naprzód na miejscu dawnych fortów, następnie zaś w postaci osad, zakładanych na szlakach wodnych lub lądowych. Miasta stają się niezbędnymi węzłami w sieci komunikacyjnej nowouzyskanych terytoriów dorzecza Ohio i Mississipi, miejscami ekwipunku dla farmerów, wreszcie rynkami zbytu dla rozwijającej się produkcji rolnej. Wskutek rozrzucenia ludności farmerskiej na słabo zaludnionych przestrzeniach, braku wiosek i pomniejszych skupień, małe miasteczko wzrasta do znaczenia jedyne go ogniwa w gospodarce na obszarach preriowych, łączącego te krainy z cywilizacją.

Na pobrzeżu atlantyckim, pod wpływem oddziaływań kultury angielskiej, zaczynają powstawać środowiska miejskie o pokroju, zbliżonym do wielkich miast europejskich. Miasta te jednak w słabym tylko stopniu oddziałują na życie umysłowe głębi kraju. Tam, w małych miasteczkach preriowych, życie toczy się wąskim korytem, w ramach nakreślonych przez lokalny horyzont wysiłków gospodarczych. W tym środowisku utrzymują się w pełni ożywione kontakty społeczne, których wzory tkwiły w osiedlach nowoangielskich.

Rzecz oczywista, że od czasów „kolonialnych“ warunki zmieniły się bardzo poważnie. Przede wszystkim miejsce osad zasiedziały, o ludności mieszkającej

w znacznym swoim odsetku z pokolenia na pokolenie na jednym miejscu zajmują miasteczka, powstające z dnia na dzień, w których mieszkańcy spędzają często zaledwie po kilka lat, by następnie znów szukać szczęścia w innej osadzie, dalej ku zachodowi położonej. Ponadto miesza się tu żywioły rozmaite: ze stanów północnych, południowych i środkowych, oraz świeżo przybyłe z Europy. A jednak większego chaosu społecznego nie spotykamy, z wyjątkiem może awanturniczych osad górników, poszukiwaczy złota i cowbojów. Wręcz przeciwnie: przeciętny amerykański partykularz małomiasteczkowy organizuje się niezwykle sprawnie.

Przyczynia się do tego wielka, wbrew pozorom, jednolitość zrębów społecznych. Nie ma bynajmniej tak wielkich różnic między reprezentantami żywiołu protestanckiego, przybywającymi z różnych części kraju, a nawet świeżo z Wielkiej Brytanii. Wszyscy rządzą się tym samym umiłowaniem czynu. Cechuje ich bezwzględność w walce o byt, a jednocześnie żywa potrzeba mocnych więzi społecznych. Nadto purytanie z Nowej Anglii, posiadający organizację najsprawniejszą, oraz najwyższy stosunkowo poziom kultury, narzucają zasadnicze właściwości swojej „community“, dostosowując je tylko z grubsza do warunków społeczności płynnej, pozbawionej tradycji i trwałości w czasie i w przestrzeni.

Wzory te odegrały szczególnie doniosłą rolę właśnie w takim środowisku płynnym: umożliwiły szybką asymilację przybysza, stwarzały dokoła niego cały aparat kontaktów społecznych, niezbędny dla sprawnej działalności gospodarczej. Pod kątem widzenia ułatwień życiowych dla nawpół koczowniczych ludzi interesu organizacja społeczna partykularza amerykańskiego była wręcz nieznównana. Łączyła żywość i siłę pierwiast-

ków bezpośredniego, harmonijnego współżycia społecznego z korzyściami współdziałania na polu gospodarczym. A jednocześnie nie niweczyła swobody indywidualnej, oraz nie krępowała dowolnego przenoszenia się z miejsca na miejsce w myśl wymagań, jakie stawała zażarta walka o wydarcie maksimum bogactwa przyrodzie amerykańskiej.

Amerykanie stworzyli państwo i społeczeństwo o zrębie wyłącznie ekonomicznym, t. j. przeznaczone do tego, by członkom swoim dostarczać jak najpełniejszych możliwości wzbogacenia się¹⁴. Żywiolowa organizacja społeczna uzupełnia w tej mierze cały systemat polityczny republiki amerykańskiej.

Spółeczność miejscowa daje mocną, a równocześnie elastyczną i łatwą do nawiązania strukturę bezpośrednich kontaktów. Amerykanin może wszędzie oczekiwać poparcia moralnego i pomocy w razie potrzeby. Na tym polega zasadniczy zrąb więzi społecznej partycularza, usuwającego wszystkie ujemne skutki osamotnienia, tego największego hamulca dla czynu, zwłaszcza w kraju, w którym pustka może unicestwić wszystkie zamysły pojedynczych jednostek. Osamotnienie takie jest brzemienne w niebezpieczeństwa życiowe, nie tylko dlatego, że podkreśla słabość sił fizycznych pojedynczych osób, lecz również i z tego powodu, że pociąga za sobą poczucie pustki duchowej i rodzącej się z niej bezsilności¹⁵.

W kraju tak rzadko zaludnionym, w którym wszystkie wysiłki były skierowane ku zdobywaniu korzyści materialnych, silna organizacja społeczna była postacią samopomocy: wszelki brak harmonii ze środowiskiem oznaczał nieprodukcyjną utratę energii. Dlatego wszystkie tradycje gminy protestanckiej znajdowały tak podatny grunt rozwoju w atmosferze rosnącej w siłę i bogactwa demokracji Nowego Świata¹⁶.

2. *Pierwiastki społeczne partykularza*

a. *Rodzina*

Więź społeczna Ameryki małomiasteczkowej spoczywa niewątpliwie na rodzinie, pomimo równorzędnego rozwoju innych grup, w których pierwiastek genetyczny nie wchodził bynajmniej w rachubę.

W dobie kolonialnej przybyła z Anglii rodzina w stanie silnym, niczym nienadwątlonym. Gospodarka patriarchalna, oraz surowa kontrola ze strony przewodników duchowych purytanizmu utrzymywały spoistość grupy rodzinnej. Wszelkie objawy swobody obyczajów znajdowały się pod pręgierzem społecznym.

Wędrówka ku zachodowi podniosła znaczenie społeczne kobiety, sprzyjała również emancypacji dorastających dzieci. Mała liczba kobiet zapewniała im lepsze stanowisko w rodzinie. Dzieci wcześniej znajdują szanse zdobycia środków do życia poza rodziną. Na fermach istnienie zwartej wspólnoty wytwórczej utrzymuje wiele form patriarchalnych, w małych jednak miastach panuje w rodzinie atmosfera bardziej liberalna, prowadząca stopniowo do zupełnej niemal równości praw jej członków.

Istnieje duża doza obojętności wobec nieobecnych członków rodziny. Opuszczanie rodziców przez dorastające dzieci w poszukiwaniu lepszych warunków jest zjawiskiem na porządku dziennym. Nie pociąga to jednak za sobą rozprzężenia stricto sensu. Niema antagonizmów, niema walki, któraby stwarzała grunt do rozkładu więzi. Dokonywa się tylko zwiotczenie nici uczuciowych, zwłaszcza wówczas, gdy w grę wchodzi rodzina szersza, przekraczająca rozmiarami grupę małżeńską (wraz z dziećmi). Wcześniej przestaje ona ist-

nieć w związku z koczowniczym trybem życia. Kontakt z krewnymi ustaje, więzy pokrewieństwa przestają odgrywać rolę regulatorów społecznych. Opinii rodzinnej nie ma już prawie śladu.

Natomiast grupa małżeńska wchodzi jako zasadniczy składnik do wszelkich szerszych więzi społecznych. A więc zarówno w życiu kościelnym, jak i stowarzyszeniowym występują pary, nie jednostki. Jedynie loże, oraz różne organizacje mistycznego ceremoniału apelują głównie do mężczyzn. Są istotnie związkami mężczyzn, niezbyt odbiegającymi od analogicznych więzi w społeczeństwach pierwotnych.

Ale i te organizacje uważają za swój obowiązek rozciągać kontrolę nad życiem osobistym członków: skandal małżeński będzie ostro napiętnowany przez opinię gromady. Członek loży musi być dobrym mężem i ojcem, inaczej grozi mu wykluczenie, ostracyzm grupowy.

Na straży rodziny stoją w rzeczywistości wszelkie inne grupy w tej silnie powiązanej ze sobą strukturze społeczności małomiasteczkowej. Zachwianie równowagi na tym właśnie odcinku życia osobistego jest uważane za objaw wyłamywania się z pod władzy gromady. Dlatego taką moc miały przez czas tak długi najblahsze nawet objawy zewnętrzne pruderii erotycznej, wcielone do nieformalnego kodeksu purytańskiej ctyki płciowej. Wskutek tego również wszelkie „inhibicje” na tle zakazów moralnych były skrzętnie pielęgnowane.

Z drugiej strony w grupie rodzinnej dojrzewają i wykształcają się wszystkie formy działania społecznego, które później wystąpią w zorganizowanym życiu zbiorowym partykularza. Szkoła jeszcze nie zastępuje rodziny pod względem wychowawczym, co najwyżej uzupełnia jej wpływ.

Zwarte życie rodzinne nie wysuwa się na widownię społeczną, tkwi jednak u podstaw wszelkich przejawów działalności zespołowej. Pod tym względem środowisko amerykańskie w niczym zasadniczym nie odbiega od społeczności ludowych europejskich.

b. Kościół

Sekty purytańskie straciły wyłączne, dominujące swoje stanowisko z chwilą odzyskania niepodległości przez Stany Zjednoczone. Przede wszystkim kumulacja władzy duchownej z cywilną stała się nadal niemożliwa wobec zupełnego rozdziału kościoła od spraw państwowych. Rozdział ten był jedyną drogą, jaką mogło obrać młode państwo federalne wobec istnienia mnóstwa odrębnych, często zwalczających się wzajemnie wyznań w poszczególnych stanach. Konstytucja amerykańska odbiera przeto wszelkim organizacjom kościelnym charakter publiczny, uznaje je za stowarzyszenia współwyznawców, a sprawę przynależności wyznaniowej traktuje jako sprawę prywatną obywateli.

Z drugiej strony rozbudowujący się aparat państwowo-stanowy i federalny stwarza zastępy fachowych polityków, wśród których duchowni z Nowej Anglii nie mogą zająć tak uprzywilejowanego stanowiska, jakie dzierżyli w samorządnych gminach w dobie kolonialnej.

Życie polityczne laicyzuje się. Życie kościelne traci również swoją pierwotną wartość. W nowych miastach na zachód od Alegonów mieszkają się różne wyznania: każda grupa przybyszów osiada dokoła swojego kościoła, sprowadza swojego kaznodzieję. W małym nawet miasteczku istnieje równocześnie parę wyznań, tworzących odrębne gminy wyznaniowe.

Pomimo to siła więzi religijnej jest jeszcze bardzo znaczna. Życie kościelne jest ożywione i bierze w nim udział ogromna większość obywateli. Autorytet duchownych utrzymuje się w mocy we wszystkich sprawach etyki życia zbiorowego, oraz obyczajowości. Kontrola purytańskiej opinii publicznej jest nadal nieubłagana.

Składa się na to wiele czynników natury kulturalnej, społecznej, a nawet gospodarczej.

1. Przede wszystkim cała prawie ludność partykularza amerykańskiego jest wychowana w środowiskach protestanckich, o skłonnościach wybitnie purytańskich. Stykanie się różnych wyznań wyrabia tolerancję wobec dogmatów, którym zresztą umysłowość anglosaska nigdy nie przypisywała większego znaczenia. Uczęszczanie do tego, czy owego kościoła, czerpanie wskazówek etycznych z kazania tego, czy innego kaznodziei to sprawa drugorzędnej wagi, raczej przyzwyczajenia. Istotne znaczenie ma tylko zgodność z wytycznymi moralności gromadnej, na której straży stoją wszystkie wyznania, coraz bardziej zresztą tracące zewnętrzne różnice w zakresie obrzędowym. Mamy właściwie do czynienia z kilkoma równoległymi organizacjami, reprezentującymi tę samą treść kulturalną i społeczną. Rozbicie organizacyjne nie wpływa na rozbicie opinii, ani nie stwarza jakichkolwiek konfliktów moralnych w łonie społeczności¹⁷.

2. Izolacja kulturalna i brak jakichkolwiek silniejszych wpływów z zewnątrz, zdolnych wzniecić inne zainteresowania poza religijnymi, utrwała na czas długi wyłączność oddziaływania duchowego kościołów na społeczność małomiasteczkową. Wychowanie w środowisku rodzinnym, w petyzmie i bałwochwalczym uwielbieniu dla Biblii, słaby jeszcze wpływ zsekularyzowanego przez

konstytucję szkolnictwa, niski poziom wiadomości o świecie — wszystko to utrwała światopogląd purytański. Zresztą znajduje on również uzasadnienie w ciężkich warunkach walki z przyrodą przy słabym jeszcze zaludnieniu wielkich przestrzeni kontynentu, oraz w złych środkach komunikacyjnych. Na powierzchni życia utrzymują się przede wszystkim jednostki silne, niefolgujące sobie i innym, o surowym, bezwzględnym stosunku do otoczenia, stosunku, który właśnie wpajał purytanizm.

3. Wreszcie gmina religijna, jako zwarta organizacja współżycia i współpracy utrzymuje nadal swoją rację bytu w płaszczyźnie ekonomicznej. Sekta religijna przemienia się bowiem z łatwością w klikę gospodarczą wówczas, gdy należenie do niej przynosi korzyści natury materialnej. Korzyści te stają się udziałem członków, postronni zostają z nich wykluczeni. Dążenie do opanowania całej władzy politycznej przez zbory kongregacjonalistów w Nowej Anglii, oraz próby zamknięcia dostępu do zborów tych przybyszom z zewnątrz miały wyraźnie podłoże gospodarcze. Jaskrawo występuje tendencja do zachowania monopolu działalności ekonomicznej przez grupę wybranych. Równocześnie uwydatnia się brak zaufania do osób obcych, których wartość osobista nie jest znana. Przynależność do kościoła każe wnosić o posiadaniu przez jednostkę właściwości charakteru, niezbędnych do przyjęcia jej do grona ludzi interesu. Max Weber¹⁸ przytacza wypadki, że bankier, chcący otworzyć bank w gminie, zamieszkałej przez baptystów, musiał poddać się wymagany ob-
rządkom religijnym.

W społeczeństwie płynnym, w którym przynależność rodowa nie ma znaczenia, niezbędne są pewne właściwości społeczne, otwierające przybyszowi drogę do

współpracy w nowej miejscowości, w której osiada. Przynależność do któregoś z istniejących tam wyznań od razu wprowadza go do grona zaufanych. Do niedawna zdarzało się, że ludzie interesu, opuszczając swoje miejsce rodzinne, zaopatrywali się w zaświadczenia od swojej gminy religijnej, że byli jej członkami i zostali dopuszczeni do obrzędu komunii¹⁹.

Na płaszczyźnie współżycia, zrodzonego przez środowisko religijne sekt, wytwarzają się zazwyczaj nieformalne kliki gospodarcze²⁰. Nie ma tu już mowy o korzyściach, jakie dawała wyłączność polityczna gmin religijnych w dobie kolonialnej, jednak dodatkowy motyw gospodarczy jest często jeszcze bardzo silnie spleciony z innymi stronami działalności zbiorowej grup wyznaniowych. W każdym razie przynależność kościelna nadaje wyraźne piętno respectability.

Sekty utrzymują tedy na partykularzu amerykańskim przez cały wiek XIX swoje wpływy moralne i organizacyjne. Kształtują etykę, opinię, całą filozofię życiową. Ich dziełem jest wyrobienie łatwości współżycia, oraz tworzenia zwartych, niewielkich organizacyj — zdolność, którą posiadają w wysokim stopniu Amerykanie.

c. Życie polityczne

Życie polityczne nie mogło dostarczyć tylu pierwiastków konstruktywnych. Nigdy właściwie nie zostało należycie zorganizowane, chociaż rzeczą zrozumiałą jest, że niedociągnięcia w tej mierze były znacznie mniej destrukcyjne społecznie w małym miasteczku preriowym, niżeli okazały się następnie w wielkich miastach przemysłowych.

Ustrój polityczny Stanów Zjednoczonych zachod-

wał u podstaw najmniejszą jednostkę samorządną, jaką była na północy gmina (township) a na południu powiat (county). W stanach nowych, powstałych już po wojnie o niepodległość, te same wzory samorządności jednostki lokalnej (przeważnie powiatu) zostały utrzymane. Zasadą tego systemu jest, że wszystkie sprawy, zamknięte na przestrzeni powiatu, czy gminy, podlegają tylko władzy miejscowej. Jest to więc państewko prawie suwerenne. Władza stanowa wkracza wówczas tylko, kiedy pojawiają się zagadnienia o znaczeniu ogólnostanowym, albo też dochodzi do zatargu między dwiema jednostkami lokalnymi. W innym wypadku administracja miejscowa nie podlega żadnej instancji odwoławczej. Nie ma tu więc żadnej analogii z samorządem w znaczeniu europejskim. Nawet w Anglii, gdzie władza lokalna korzysta z szerokiego zasobu uprawnień, korona zawsze posiadała prawo kontroli.

W Stanach Zjednoczonych istnieją więc niejako trzy szczeble suwerenności państwowej (lokalny, stanowy i federalny), między którymi rozdział kompetencji wiąże się naogół ściśle z terytorium, jakie działanie władz obejmuje.

W obecnych rozważaniach szczególnie doniosłe jest to, że wszystkie władze pochodzą z wyborów powszechnych. Najdrobniejsze sprawy miejscowe przybierają charakter takich samych utarczek politycznych, jak wybory do kongresu, do senatu, czy też osoby prezydenta. Wszędzie przenika system dwu partyj i polityka profesjonalizuje się.

Ludzie interesu wcześniej zaczynają stronić od czynnej polityki. Wybory stają się sprawą rozgrywki klik, zmontowania aparatu wyborczego, który wprowadzie w małym mieście amerykańskim nie ucieka się jeszcze do tak rażącej korupcji, jak następnie w wiel-

kich skupieniach miejskich, jest jednak dosyć odległy od szczerego demokratyzmu szerokich rzesz obywateli.

Zaszczyty, płynące ze sprawowania stanowisk, pole do popisu retorycznego, jakie daje życie polityczne, utrzymują pewien kontakt obywatela z lokalną polityką, tym bardziej, że jest on żywo zainteresowany w ogólnym postępie gospodarczym miejscowości, w napływie mieszkańców, we wzroście obrotów handlowych. Jest patriotą lokalnym, booster'em, wiecznie mającym na ustach przesadne pochwały na rzecz miłośnicy, w której mieszka, oraz zapewnienia co do niezwykłych widoków jej rozwoju na przyszłość. Boosteryzm ten skupia się jednak przede wszystkim w izbach handlowych, pozostawiając kierownictwo administracji lokalnej na łup klice polityków.

Swoistą rolę w życiu społecznym małego miasta odgrywają stowarzyszenia patriotyczne. Wyrósły one pierwotnie z pierwszego zetknięcia się partykularza z falami imigracji europejskiej, zawierającej żywioły zupełnie obce protestanckiemu środowisku Ameryki. Katolicy irlandcy byli pierwszymi przybyszami z Europy, których pojawienie zrodziło odruch ksenofobii. Wojna cywilna wykrystalizowała ostatecznie nastroje patriotyczne, z ich retoryką, symboliką, skierowaniem ostrza niechęci zbiorowej przeciw wszystkiemu, co nie jest szczerze amerykańskie. Oczywiście, względy gospodarcze, obawa współzawodnictwa ze strony obcych elementów posiadały swoistą wagę. W stanach południowych po zniesieniu niewolnictwa przyłączyła się do tego jeszcze obawa, by Murzyni nie nadużyli swoich uprawnień politycznych i zrównania prawnego z białymi. Ku-Klux-Klan, powstały po wojnie cywilnej, walczył z Murzynami terorem w imię supremacji rasowej.

W stowarzyszeniach patriotycznych występuje ca-

ły splot momentów, między innymi także i to, co zawsze pociąga Amerykanina do organizacji wszelkiego typu, mianowicie zamiłowanie do retoryki i naiwnego, operetkowego ceremoniału. Niemniej jednak najgłębiej u podstaw tkwi obawa przed wszystkimi, którzy, wciśkając się do jednolitej społeczności partykularza, mogliby zakłócić jej tradycyjną równowagę.

d. Łoże i stowarzyszenia

Łoże i stowarzyszenia wzajemnej pomocy posiadają przede wszystkim doniosłe znaczenie gospodarcze. Wyrosły w początkach w. XIX, t. j. w epoce, kiedy pierwiastki współpracy i samopomocy zaczęły zyskiwać coraz bardziej na znaczeniu wobec rosnącej płynności ludnościowej, która unicestwia zwartość wielkiej rodziny, oraz najbliższego sąsiedztwa, jako żywiołowej organizacji pomocy wzajemnej w razie nieszczęścia. Jednocześnie wzrasta niebezpieczeństwo przedwczesnej śmierci i utraty zdolności do pracy w miarę posuwania się w głąb kontynentu. Przy tym spekulacyjny, ryzykancki tryb życia nie pozwalał na gromadzenie oszczędności, które mogłyby zapewnić utrzymanie w razie inwalidztwa, na starość, albo dla osieroconej najbliższej rodziny. Ubezpieczenie wzajemne stało się koniecznością.

Stowarzyszenia wzajemnej pomocy (friendly societies) rozwinęły się w Anglii na gruzach kas cechowych i gildyjnych. Na początku XIX w. w miarę krzepnięcia ustroju przemysłowego poczęły wytwarzać się organizacje ogólnokrajowe, skupiające większe fundusze. Przybrały one nazwę „zakonów“ (orders), wzorując się po części na ceremoniale masonskim²¹. System łóż lokalnych przy jednoczesnym wprowadzeniu wspólnych funduszy w płaszczyźnie ogólnokrajowej stwo-

rzył trwałe podstawy rozwojowe. Przyjęły się one zwłaszcza mocno w Stanach Zjednoczonych, gdzie godziły nawyki demokracji lokalnej z siłą finansową, płynącą ze zgrupowania licznych zastępów członków. Umożliwiały częstą zmianę miejsca zamieszkania, oraz łóz bez utraty uprawnień członkowskich.

Organizacje masońskie rozwinęły również na kontynencie amerykańskim akcję filantropijno-samopomocową w większym znacznie zakresie, niż w Anglii.

Łoże masońskie i „zakony” wzajemnej pomocy stają się wkrótce ostojami życia społecznego małych miejscowości. Bogaty, fantastyczny ceremoniał przyciąga Amerykanów, łaknących wystawności w życiu publicznym, chociażby dla przerwania monotonii dnia codziennego i znalezienia pola do popisu. Kościół protestancki upośledzał pod tym względem swoich wyznawców przez surową prostotę nabożeństw, wykreślenie wszelkiej obrzędowości, zdolnej przemówić do wyobraźni. Nic więc dziwnego, że ceremonie łóż zaczynają wkrótce poważnie współzawodniczyć z obrzędami religijnymi. Do starć wszakże nie dochodzi, konfliktów bowiem silniejszych nie ma, a jeżeli są, to takt duchownych nie dopuszcza do zbytniego zaognienia stosunków. Nowa forma życia zbiorowego zastępuje dawniejszą, mniej zdolną dostarczyć wzruszeń i zadowolenia.

Jednocześnie łoże, zwłaszcza masońskie, zajmują coraz donioślejsze stanowisko w tworzeniu klik gospodarczych. Bardziej wyłączone od sekt religijnych, odgrozione od szarego tłumu murami balotażu i wtajemniczeń, mogły dopuścić do swojego grona tylko elitę gospodarczą i do elity tej ograniczyć różne formy monopolu korzyści materialnych, osiąganego w drodze współpracy. Członkostwo łóży otwiera różne szanse interesów na miejscu, a w razie wejścia w styczność

z bratnimi organizacjami, — nawet w najodleglejszych zakątkach kraju. Tym względem ściśle utylitarnym masoneria amerykańska zawdzięcza głównie tak potężny rozwój na małomiasteczkowym partykularzu. Łoża masońska stawała się siedzibą tajnego rządu plutokracji miejscowej²².

Wszystkie te dziedziny działalności łóż i stowarzyszeń na polu wzajemnej pomocy, cichej współpracy gospodarczej, czy wreszcie w zakresie ceremoniału i pseudo-mistycznej pompy zebrań i obrzędów — splatają się ze sobą w jednolitą całość.

W tym środowisku powoli laicyzuje się całe życie społeczności miejscowej. Właściwości, wyrobione przez wieki panowania więzi religijnych, tracą wyraźne zarysy, rozplývają się w działalności czysto świeckiej. Wychodzi stopniowo z użycia frazeologia religijna, która w dobie wszechwładztwa purytanizmu zespoliła się z każdym przejawem życia zbiorowego i każdą normą postępowania w gromadzie. Z pokolenia na pokolenie słabnie również siła surowych zasad życiowych, coraz więcej swobody i naiwnej fantazji charakteryzuje przejawy zbiorowego współżycia.

Zasady jednak ogólne, siła opinii, rola gromady w regulowaniu postępowania jednostki — pozostają wciąż jeszcze w mocy. Dokonywa się laicyzacja partykularza, a bynajmniej nie jego rozpad. Na początku wieku XX partykularz ten jest tak samo odcięty od szerokiego świata, jak w dobie kolonizacji preriowej. Zmiany, które zajdą, będą niemal błyskawiczne.

e. Sylwetka psychiczna Amerykanina z doby partykularza

Zanim przejdę do tych zmian, chciałbym stworzyć sylwetkę psychiczną Amerykanina takiego, jakiego par-

tykularz urobił, oraz zobrazować te właściwości, w jakie wyposażył go do walki życiowej.

Amerykanie nazywają siebie „narodem wieśniaków“ (a nation of villagers) i w nazwie tej zamykają wszystkie podstawowe właściwości społeczne psychiki amerykańskiej, na którą składają się przede wszystkim następujące znamiona.

1) Nawyk do bezpośrednich kontaktów z żywymi jednostkami, z którymi się zetkną, czyli sąsiedzkość (neighborliness). Z tym wiąże się nieumiejętność obcowania z ideałami oderwanymi, oraz kontaktowania z innymi ludźmi poprzez subtelne abstrakcje, tak rozpowszechnione w umysłowości Europejczyków, ze sfer intelektualnych zwłaszcza.

2) Zdolność do tworzenia małych, zwartych organizacyj demokratycznych. Nie tylko zdolność, ale wręcz potrzeba, organizacje te bowiem pozwalają na pełne wyładowanie rzutkości i energii jednostki, uniemożliwiają zagnieżdzenie się w psychice osobnika pierwiastków destrukcyjnych, z samotności płynących. Życie społeczne jest niejako samorzutnym wytryskiem z duszy jednostki. Pełne jest optymizmu i pogody, rodzi dalszą radosną równowagę duchową.

3) Jednolitość duchowa stanowi również właściwość uderzającą w środowisku amerykańskim. Widać wyraźnie wpływ dyscypliny życia zbiorowego, zwłaszcza religijnego, przy jednoczesnym braku jakichkolwiek różnic społecznych i tradycji hierarchii społecznej. Stopień zamożności rozstrzyga tylko o przynależności do tego, czy innego zamkniętego kręła towarzyskiego, nie stanowi o poziomie kultury, poziom ten bowiem jest niezwykle mało zróżniczkowany.

Płynność ludności, wędrownia z jednego krańca Stanów na drugi nie różniczkuje bynajmniej duchowo

mieszkańców partykularza. W wędrówce swojej napotykać takie same partykularze. Zdolność do jednakowych, zestandaryzowanych niemal reakcyj ułatwia znakomicie wżywanie się w nowe środowiska. W rezultacie płynność zaciera rozbieżności, wzmacnia procesy niwelujące duchowo²³.

Konwencjonalizm jest owocem tych procesów wyrównywania się odchylen od wszechpotężnej przeciętności. Rodzą się objawy zupełnego, niewolniczego niemal dostosowywania się do norm i nawyków gromady, t. zw. konformizm w słownictwie socjologicznym amerykańskim. Wszelki odskok od sposobów myślenia, mówienia, zachowania się spotyka się naprzód z zaniepokojeniem opinii. Rodzi się plotka. Gdy ta nie pomaga, występuje ostracyzm towarzyski. Stanowi on sankcję wszechpotężną.

Strach przed tym, by nie znaleźć się w pustce społecznej, jest jednym z najsilniejszych biczów, jakimi rozporządza opinia partykularza. Osamotniony Amerykanin załamuje się wskutek powstania zupełnej próżni duchowej: całą jego treść wewnętrzną stanowią żywe stosunki ze środowiskiem. Nawet gdyby tak mocno nie zależał gospodarczo od różnych klik i grup, nie mógłby duchowo oderwać się od swojego otoczenia. Wszelkie osobiste mniemania, fantazje, niewinne herezjki porzuca w obawie ściągnięcia na siebie nieprzejednanej, karcącej opinii gromadnej²⁴.

Okres partykularza, pomimo zupełnej indywidualizacji gospodarczej, wyścigu za pieniądzem i najbrutalniejszego egoizmu (*rugged individualism*), utrzymał żywe pierwiastki społeczne w duszy amerykańskiej. Amerykanin pod względem swojego słabego wyodrębnienia duchowego ze zbiorowości posiadał jeszcze do niedawna zrąb psychiczny, właściwy kulturom ludowym.

W Europie zrab ten zanikał w szybkim tempie pod wpływem zetknięcia z gospodarką kapitalistyczną i kulturą intelektualną mieszczaństwa. W Ameryce „pierwotność” psychiczna skojarzyła się z rozwiniętą techniką gospodarki indywidualistycznej, nie tylko skojarzyła, ale stała się jednym z podstawowych czynników powodzenia w podboju kontynentu, dając jednostkom równowagę duchową, wzmagając rzutkość, usuwając mnóstwo przyczyn rozterek, które gnębią zindywidualizowane duchowo środowiska mieszczańskie Europy i piętrzą nieoczekiwane trudności w wyścigu za pieniędzem.

Rozdział II

PRZEMIANY GOSPODARCZE I KULTURALNE

1. *Urbanizacja „rdzennej“ Ameryki*

Okolo 1890 ustaje w Stanach Zjednoczonych od wieku trwająca masowa wędrówka ludności ku zachodowi. Wszystkie prawie obszary, nadające się do kolonizacji, zostały okupowane i zaludnione w rozmiarach, na jakie pozwalała ekstensywna gospodarka rolna, rabunkowy wyrąb lasów, lub dorywcza eksploatacja złóż mineralnych. Stany Zjednoczone wkraczają w okres wielkoprzemysłowy: przede wszystkim produkcji maszyn, narzędzi i innych dóbr kapitałowych oraz artykułów masowego spożycia.

Ludność napływa do wielkich miast portowych, położonych na dogodnych szlakach komunikacyjnych, a zwłaszcza w bliskości ciężkich co do wagi surowców. Dokonywa się wyraźna koncentracja wzdłuż wybrzeży morskich, oraz w pobliżu wielkich jezior²⁵. Okolice, leżące w głębi kontynentu, nie wyludniają się oczywiście (poza niektórymi okręgami górniczymi i stepami, nawiedzanymi przez częste susze), ale przeżywają coś w rodzaju zastoju rozwojowego (z wyjątkiem chyba zagłębi naftowych, niektórych części stanów południowych, gdzie wędruje przemysł żelazny i włókienniczy w poszukiwaniu taniego robotnika).

W pewnym stopniu umacnia to nawet społeczną

izolację partykularza małych miast śródlądowych. Wielkie miasta przemysłowe zaludniają się wyłącznie niemal żywiołem napływowym z Europy (i to coraz bardziej z krajów południa i wschodu Europy), obcym zupełnie językiem, religią i obyczajami „rdzennej“ Ameryce. Skupienia fabryczne są przez lat kilkadziesiąt zupełnie odcięte kulturalnie i demograficznie od społeczeństwa amerykańskiego.

Niemniej izolacja gospodarcza nie jest możliwa w całej rozciągłości. Przemysł stara się zdobyć rynek krajowy. Rozwija się aparat handlowy, który coraz bardziej uzależnia małe miasta od wielkich skupień dyspozycji gospodarczej. Wielkie magazyny i hurtownie fabryczne wyrugowują pośrednictwo małych miast w stosunkach handlowych z fermą. Rozwój komunikacji, a zwłaszcza rozpowszechnienie automobilu i rozbudowa dróg wyłączają wiele zbytecznych ogniw terytorialnych w handlu. Żywiół kupiecki zaczyna emigrować z osiedli preriowych, tym razem nie dalej ku zachodowi, do nowych podobnych miasteczek, lecz do większych skupień. Rozpoczyna się właściwa urbanizacja „rdzennej“ Ameryki.

Prawdopodobnie proces ten rozpoczął się już na kilka lat przed wielką wojną, wojna jednak stworzyła mnóstwo dodatkowych bodźców, przeobraziła zjawiska o słabym nasileniu w prawdziwą rewolucję w zakresie układu stosunków demograficznych. Jednocześnie Ameryka przeżyła swoją „drugą rewolucję przemysłową“ w związku z gwałtowną rozbudową wytwórczości produkującej masowo na potrzeby rynku wewnętrznego.

Czynniki gospodarcze splatają się tu w nierozdzielną całość z przemianami kulturalnymi. Przede wszystkim wojna dopiero przełamała izolację psychiczną partykularza oraz farmy amerykańskiej od szerszego świa-

7
ta. Młodzież zetknęła się dzięki wojsku z wielkimi miastami Ameryki i Europy. W życiu wielkomiejskim znalazła mnóstwo pojęć, pole do pełnego wyżycia się, którego monotonne środowisko wiejskie i małomiasteczkowe dać jej nie mogło. Rozrywki, jakie może dostarczyć miasto w coraz szerszym i bogatszym zakresie dzięki szybko w tym czasie postępującemu ich udostępnieniu, (zwłaszcza przez rozpowszechnienie kina), stają się nieodzownym niemal narkotykiem dla młodszego pokolenia. Porzuca ono zapadłe kąty i ciągnie do większych skupień. Rozwój szkolnictwa, zwłaszcza wyższego²⁶, przyczynia się również bardzo poważnie do wzmożenia wędrówki zdolniejszej i ambitniejszej młodzieży do miasta.

Miasto w czasie wojny, a zwłaszcza w dobie powojennej „prosperity“ otwierało szerokie pole pracy, zarówno dla osób samodzielnych gospodarczo, jak dla pracowników zależnych. O ile przemysł nie rozszerza już naogół kadr pracowników, zatrudnionych przy produkcji²⁷, o tyle wymaga coraz liczniejszych zastępów osób przy wprowadzaniu jego wytworów na rynek²⁸. Wynika to z przemian, jakie dokonały się w kierunkach rozbudowy wytwórczości. Odbyla się mianowicie ewolucja od przemysłów, bądź wytwarzających dobra, przeznaczone do dalszej produkcji, t. j. dla celów inwestycyjnych, bądź też produkujących mało zróżniczkowane artykuły masowego spożycia, — do przemysłów, zaspakajających coraz wyszukańsze potrzeby rosnącego w siłę nabywczą rynku wewnętrznego. Przemysł samochodowy, filmowy, urządzeń domowych, radiowy i inne znamionują to przeobrażenie.

Masowa produkcja artykułów, które służą dopiero krystalizującym się potrzebom ludności, pociąga za sobą konieczność rozwoju złożonego aparatu sprzedaży:

towary należy wprowadzić na rynek, klientów wdrożyć do ich kupowania.

Eksploatacja rynku wewnętrznego stwarza nowy popyt na pracę²⁹⁾ dla żywiołu o tym właśnie pokroju psychicznym, jakim są rdzenni Amerykanie, wychowani od kolebki w atmosferze ryzyka, spekulacji, śmiałych kalkulacyj na przyszłość.

Jednocześnie rozbudowuje się aparat administracyjny stale rosnących w liczbę i rozmiary kolosów przemysłowych, handlowych i bankowych.

Te nowe możliwości pracy otwierają się przede wszystkim w wielkich miastach. Małe ośrodki zbierają tylko okruchy „prosperity”. Na fermach natomiast rozpoczyna się, jeszcze w okresie dobrej koniunktury rolnej, emigracja nadmiaru rąk roboczych, które coraz szerzej stosowana mechanizacja pracy czyni zbędnymi. Kryzys rolny przyspiesza w ostatnich latach „prosperity” tę ucieczkę ze wsi do miast, przede wszystkim do miast większych³⁰⁾.

Wielkie skupienia ludności wzrastają gwałtownie. Tym razem dopływ emigrantów z Europy, który stanowił o wzroście ich przed wojną, jest bez większego znaczenia. Najpoważniejszą falę stanowią rdzenni Amerykanie. W 1930 już prawie połowa tych 100%-owych Amerykanów zamieszkuje w miastach³¹⁾.

Niezmiernie doniosłe jest oblicze społeczne tej wędrówki do większych miast. Dotychczas do ośrodków takich przenosiły się, z pośród rdzennych Amerykanów, wyłącznie niemal jednostki bardzo przedsiębiorcze, wzbogacone na prowincji. Tworzyły najwyższą warstwę ludności miejskiej, oderwaną od innych, obcojęzycznych przeważnie elementów. Pracowały na stanowiskach kierowniczych, ponad szarym tłumem, zamieszkiwały w zamkniętych dzielnicach willowych.

Ostatnia fala przynosi na bruk miast masy przeważnie pozbawione środków materialnych, poszukujące dopiero możliwości wybicia się na bruku wielkomiejskim. Jest to przede wszystkim młodzież, która dopiero wchodzi w życie.

Izolacja społeczna w stosunku do innych żywiołów, zamieszkających w wielkim mieście, nie jest już nadal możliwa: niknie zarówno w warsztacie pracy, jak i wówczas, gdy w grę wchodzi miejsce zamieszkania.

W walce o byt młodzież rdzennie amerykańska współzawodniczy z młodym pokoleniem pochodzenia imigranckiego. Przemieszkuje z nim razem w hotelach i pokojach umeblowanych. Dokonywa się również daleko idące mieszanie pierwiastków duchowych, wnoszonych przez odłamy młodzieży³², któremu towarzyszy szybkie wchłanianie przybyszów przez kulturę wielkomiejską oraz zanik wielu żywotnych właściwości, przyniesionych przez Amerykanów z małych miast. Dotyczy to zwłaszcza pierwiastków głębszego „uspołecznienia“, t. zw. zdolności do bliższego kontaktowania.

Występuje tu jeszcze jeden moment pierwszorzędnej wagi. Mianowicie wędrówka młodzieży do miast jest ucieczką z partykularza, ucieczką od jego wąskich widnokręgów, nudy, nieustannej kontroli społecznej. W ucieczce tej tkwi protest przeciw zwartej społeczności sąsiedzkiej Main Street, tym silniejszy, im bardziej organizacja ta stara się przeciwdziałać buntowi. Osiedlony w miastach, młodzież unika wszelkich trwałszych form więzi społecznej w strachu przed terrorem opinii publicznej.

W parze ze społecznymi skutkami przeobrażeń demograficznych przebiega proces dostosowania całego trybu życia do wielkomiejskich warunków bytu. Przede wszystkim należy zastanowić się nad bezpośrednimi

wpływami nowopowstałych warunków pracy oraz nad oddziaływaniem kultury wielkomiejskiej na przybysza z małomiasteczkowego partykularza.

2. *Nowe środowisko pracy*

Rdzenny Amerykanin jest o tyle dobrze sytuowany społecznie, że nie wchodzi do pracy fabrycznej, z jej martwą seryjnością i zmechanizowaniem. Zawody robotnicze pozostają nadal w rękach imigrantów oraz mniej przedsiębiorczych ich potomków. Między środowiskiem proletariackim a najuboższym nawet drobnomieszczańskim, w którym obraca się najgorzej sytuowana młodzież amerykańska na dorobku, istnieje głęboka, acz niewidzialna, przepaść nie tyle majątkowa, ile widnokręgów życiowych i stosunku do pracy³³.

Rdzenni Amerykanie (równolegle zresztą z bardziej przedsiębiorczymi elementami, pochodzącymi ze środowiska przychodźczego) opanowują zajęcia mniej ciężkie w aparacie handlowym, w transporcie, w administracji biurowej i technicznej. Są to stanowiska, na których pełniej można rozwinąć inicjatywę i łatwiej można się wybić. W pewnym stopniu pomaga tu młodzieży amerykańskiej wyższy poziom wykształcenia³⁴, przede wszystkim zaś temperament kupiecki, o którym już wspominałem.

Żywiół amerykański posiada skutek tego stanowisko poniekąd uprzywilejowane. Mniej jest narażony na ujemne skutki warunków pracy w dobie wielkiego kapitalizmu. Jest mniej zagrożony przez bezrobocie, które w dobie przesilenia³⁵, najsilniej trapi przemysł. W pracy codziennej nie jest on również martwym kołkiem, ma zajęcie, dające mu dosyć wszechstronne życie się, odpowiadające często jego zainteresowaniom. Czuje się elementem żywym w maszynie gospodarczej.

Co ważniejsze, pracuje wśród ludzi, nie w obliczu martwej materii, jak robotnik stojący przy pasie bez końca. Załatwia interesantów, kupuje, sprzedaje, stara się podejść przeciwnika, unika zasadzek. Wszystko przemawia za utrzymaniem postawy tradycyjnej, wykształconej na partykularzu. Niezbędna jest umiejętność nawiązywania stosunków towarzyskich, przeprowadzania najbardziej rzeczowych transakcyj handlowych w atmosferze jowialnego optymizmu, który musi wzbudzić w kliencie nastrój zaufania, usunąć cień choćby zagrożenia, niepewności i obawy. Wysilek sprzedawcy, to przecież usługa, „service“, wobec publiczności! Zdolność sugestii, cechująca dobrego mówcę, jest również właściwością bardzo doniosłą: znakomicie „procentuje“³⁶.

Talenty towarzyskie i „uspołecznienie“ są jeszcze znacznie bodaj potrzebniejsze w środowisku wielkomiejskim, niżeli na partykularzu. Walka z rozgałęzionym współzawodnictwem jest bardziej zażarta, podejrzliwość klientów większa. „Personality“, czyli pociągająca powierzchowność oraz sposób zachowania, wzbudzający przychylne nastroje u otoczenia, stanowią nieodzowną część ekwipunku życiowego handlowca. Musi on być zręcznym organizatorem społecznym na małą skalę.

Wszystkie właściwości towarzyskie człowieka „uspołecznionego“ znajdują pełne zastosowanie w walce o byt w środowisku wielkomiejskim. Inna sprawa, że te postawy, wywoływane na każde zawołanie, profesjonalizują się niejako, stają się zdawkowe i powierzchowne. Zmieniają się w etykietkę, jak ów uśmiech, mechanicznie przyklejony na wargach amerykańskiej pracownicy. Dokonywa się tu standaryzacja, tak właściwa środowisku pracy w Ameryce.

W takim „uspołecznieniu“, produkowanym na zamówienie, niemal „seryjnie“, kryje się coraz mniej rzetelnie społecznej treści, a mianowicie zadowolenia ze harmonizowania duchowego ze środowiskiem. Zbliżenie jest pozorne, staje się automatycznym odruchem podstępny, podejścia dla celów korzyści materialnej. Przez to, że jest ciągle, zawodowe, albo męczy i zniechęca do wszelkich bliższych styczności społecznych, albo, co częściej się zdarza, zobojętnia, wyjaławia, czyni niezdolnym do ściślejszego współżycia z kimkolwiek.

Również ogólna atmosfera pośpiechu i natężenia pracy na bruku wielkomiejskim nie sprzyja nastrojom współżycia w płaszczyźnie niefrasobliwych kontaktów społecznych, na które pozostawało tyle czasu w środowisku małomiasteczkowej Main Street. Praca wymaga ciągłego napięcia nerwów. Jest to nieustanna niemal spekulacja: jeżeli się uda, zdobędzie się szansę życiową, czy okrągłą sumkę pieniędzy. Jeżeli się nie powiedzie, można znaleźć się na bruku.

Dodajmy, że cnota oszczędzania staje się coraz rzadszym zjawiskiem. Rozpowszechniony zwyczaj kupna na raty najrozmaitszych przedmiotów, metoda, którą przemysł posługuje się dla zdobywania i rozszerzania rynku, sprawia, że każdy niemal pracownik był w dobie „prosperity“ zadłużony po uszy³⁷. Ponieważ towar nie spłacony całkowicie wraca w Ameryce do sprzedającego w razie, gdy ostatnia choćby rata zawiedzie, przeto jedno większe niepowodzenie materialne może pozbawić całkowicie własności nawet dosyć na pozór zamożnego człowieka. Taki stan rzeczy przyczynia się znakomicie do wzmożenia poczucia niepewności, u natur zaś słabszych może łatwo powodować załamania żywiołowego optymizmu i zaufania we własne siły. W cza-

sie ostatniego przesilenia załamania takie były objawem niemal powszechnym.

Niepewność sytuacji gospodarczej ogromnie podminowuje prostotę i bezpośredniość stosunków społecznych, rodząc widmo zagrożenia. Wpływ ten będzie się jeszcze silniej zaznaczał w środowisku, w którym „profesjonalizacja” stosunku społecznego pozbawiła go żywotności, uczyniła zeń płaszczyk w bezwzględnej walce o byt. Styczności są nie tylko powierzchowne, przełotne i zachodzą między osobami obojętnymi sobie niemal zupełnie, ale coraz silniej wdzierają się poczucie zagrożenia, czy to w formie bliżej nieokreślonej, lecz równie dręczącej, czy też w postaci wyraźnej obawy, że nadmierna chęć zbliżenia ze strony kogoś z otoczenia kryje jakieś szkodliwe zamysły, względnie może doprowadzić do żądań trudnych do spełnienia. Zbytnia serdeczność wywołuje łatwo podejrzliwość i wytwarza pustkę dokoła jednostki o bardziej wylewnym usposobieniu. Skarżą się na to zwłaszcza dotkliwie przybysze z ferm do wielkiego miasta szczególnie w pierwszych chwilach po osiedleniu się w nowym otoczeniu.

Wielkomięjskie środowisko gospodarcze zachowuje mnóstwo pozorów uspołecznienia, które tak jaskrawo występowały na partykularzu. Jest jednak nierównie silniej przesiąknięte walką o byt oraz zespolone więzami wyłącznie rzeczowymi, które tylko bardzo powierzchownie są okryte tkanką „uspołecznienia”. W środowisku tym mogą się utrzymać zewnętrzne formy więzi społecznych, zdawna umocnione przez tradycję, niemniej jednak pod pozorami trwałości, będą traciły swoją treść wewnętrzną, wiotczały, przeistaczały się w drobną monetę korzystnego w stosunkach gospodarczych konwenansu.

3. *Kultura wielkomiejska*

a. Pierwiastki kulturalne w dobie urbanizacji

Pod kątem widzenia wpływu, jaki wywiera na więź społeczną, kultura posiada dwa odmienne oblicza. Jedno z nich pozostaje w ścisłym związku z symbolami, które wzmacniają poczucie łączności jednostki z grupami i szerszymi zbiorowościami ludzkimi. Drugie natomiast znajduje wyraz w całokształcie przeżyć intelektualnych i estetycznych, wypełniających samotne życie jednostki. Przeżycia te mogą nie wypływać z chęci odosobnienia się od środowiska (choć aż nadto często nuta mizantropii nie jest im obcą), niemniej jednak stwarzają w duszy ludzkiej świat zamknięty i prawie samowystarczalny, zaspokajają głód wrażeń, usuwają na plan dalszy bezpośrednie styczności z żywymi ludźmi; pozwalają zadowalać się abstrakcjami, wyobrażeniami i ideałami kontaktów społecznych, niekiedy zastępującymi całkowicie rzeczywistość.

Kultura przeto może mieć wpływ zarówno uspołeczniający, jak odspołeczniający. Uspołecznia wtedy, gdy narzuca jednostce poczucie zwartości grupowej. Odspołecznia wówczas, gdy ułatwia jej bytowanie luźne, samotnicze. Odspołecznienie to rodzi swoiste wartości, o ile stwarza istotnie intensywny świat przeżyć kulturalnych, zapełniających samotność jednostki, która przestała obcować bliżej z jakimikolwiek bardziej zwartymi grupami społecznymi. Inny natomiast jest zrab tego osamotnienia w wypadku, gdy przeżycia te nie mają żywotności duchowej, stanowią tylko dreszcz powierzchowny, swojego rodzaju narkotyk, oszalamiający doraźnie i pozwalający zapomnieć o rosnącej dokoła pust-

ce społecznej. Rozróżnienie to ma doniosłe znaczenie przy analizie właściwości kultury wielkomiejskiej.

Kultura amerykańskiego partykularza zawiera w sobie wyłącznie pierwiastki społeczne. Uboga we wzloty intelektualne, pozbawiona nawet śladów pierwiastków artystycznych³⁸, służyła całkowicie ożywionemu współżyciu społecznemu. Prostaczy racjonalizm teologiczny purytanizmu panował niepodzielnie nad intelektem. Poza tym zasób wiedzy ogólnej ograniczał się do wiadomości o świecie w zakresie szkoły powszechnej. Wykształcenie techniczne stało nieco lepiej, jako bezpośrednio potrzebne do pracy zawodowej. Estetyczną stronę życia wypełniała naiwna obrzędowość łóż oraz kwiecista retoryka.

Cały balast intelektualny służył do wywarcia odpowiedniego wrażenia na otoczeniu, czy to w celach ściśle utylitarnych, a więc dla przeprowadzenia pożądanych transakcyj handlowych, czy też dla zabłyśnięcia poprostu w oczach środowiska, znalezienia się „na świeczniku”. Próżność jest jednym z zasadniczych bodźców działania w atmosferze życia gromadnego, w którym każdy znajduje się ciągle na oczach innych. Próżność ta łatwo przeobraża się w snobizm, w chęć wykazania swojej wyższości społecznej, nie tylko w dziedzinie posiadania dóbr materialnych, ale również wyżej cenionych właściwości duchowych³⁹.

Dla wewnętrznego życia jednostki symbole kulturalne nie miały same przez się głębszej wartości. Dopiero odbicie w oczach otoczenia stanowiło istotną treść aktywności kulturalnej. Z takim nastawieniem wiąże się jałowość intelektualna, brak jakiejś iskierki, zdolnej ożywić martwość myśli amerykańskiej, pomimo dużego nieraz utalentowania bujniejszych psychicznie je-

dnostek. Postacie takich pisarzy, jak Mark Twain, są zupełnie odosobnione.

Zaznaczam, że mówię tu ciągle o partykularzu preriowym, pomijam pobrażę nadatlantyckie, gdzie prze-
trwały ośrodki, związane bezpośrednio z życiem nau-
kowym i artystycznym Europy, przez czas długi bliższe
Europie, niż właściwej „Ameryce“ z poza Allegenów⁴⁰.
Pomimo snobizmu, który i tu kształtuje swoiście wszel-
kie dociekania i stępnia często ostrze myśli krytycznej,
na wschodzie istnieje pewne zróżniczkowanie psychiczne
i wykształca się nieliczna elita duchowa.

Na partykularzu preriowym panuje natomiast zu-
pełne poddanie się szablonom, panującym w środowis-
ku drobnomieszczańskim, nieokrzesała przeciętność
króluje niepodzielnie. Całe życie duchowe zbiega się
z rytmem przeżyć gromadnych, świetnie mieści się w ich
łonie, bez buntów, bez odruchów poszukiwania nowych,
własnych dróg, odruchów tak właściwych niespokoj-
nym duchom, które ciągle zakłócały marazm środowisk
mieszczańskich Europy.

Pewien polot posiadają w tej epoce tylko kazno-
dzieje i działacze polityczni — głównie dlatego, że przez
ich usta formułują się idee tkwiące w życiu gromad-
nym i stanowiące wytyczne życia zbiorowego, które do-
stosowuje się w ten sposób stopniowo do zmian, zacho-
dzących w warunkach bytu. Kultura amerykańska jest
kulturą gromadną, podczas gdy zachodnio-europejska —
wybitnie indywidualną⁴¹.

Przejście na grunt wielkich miast i wytwarzanie
się nowej kultury wielkomiejskiej odbywa się w Ame-
ryce w zgoła odmiennych warunkach, niżeli dokony-
wało się na zachodzie Europy w dobie wczesnego kapi-
talizmu. W Europie kultura intelektualna i estetyczna
rozwinęła się w klasztorach i w uniwersytetach, potem

w małych miastach i na dworach monarszych, już na kilka wieków przed powstaniem życia wielkomiejskiego w w. XVIII istniała liczna warstwa kulturalnie wyrobionego mieszczaństwa. Żywiół ludowy, napływający do wielkich skupień, wchodzi w miarę posuwania się po drabinie społecznej do świata kultury mieszczańskiej, która wprawdzie przekształca się i demokratyzuje, niemniej jednak pozostają w niej wyraźne ślady bezinteresownej twórczości duchowej całych pokoleń.

W Stanach Zjednoczonych żywiół rdzennie amerykański, napływający do wielkich miast, nie znajdował w nowym środowisku żadnych wytworów wyższej kultury. Nie mogły tu zupełnie wchodzić w grę getta imigranckie, żyjące resztkami kultury ludowej, przyniesionej ze starego świata, zamknięte w sobie, traktowane z pogardą przez stuprocentowych Amerykanów. Grupy elity miały również ograniczoną sferę oddziaływania. Dzielnice milionerów strzegły swojej wyłączności towarzyskiej. Zresztą kultury, w czynnym tego słowa znaczeniu, wcale nie posiadały. Ograniczały się przede wszystkim do zakupywania gotowych wytworów kultury europejskiej, co w zupełności zaspakajało snobizm dorobkiewiczów.

Kontakty w płaszczyźnie bardziej intelektualnej starały się utrzymywać kolonie cyganerii literackiej, artystycznej i filozoficznej, wyrosłe na krótko przed wojną. Greenwich Village w New Yorku, a Towertown w Chicago¹² stanowią próby wytworzenia w większych miastach amerykańskich elity artystycznej, wyzwolonej z purytańskiego konwenansu. Każdy czyn tego światka jest obliczony na efekt *pour épater le bourgeois*. Właściwa Amerykanom zdolność przejmowania form zewnętrznych (wyrobiona właśnie przez życie społeczne małego miasteczka) znajduje szczególne zastosowa-

nie w tym niby to żywiołowym wytrysku niekrępowanego indywidualizmu duchowego, który w rzeczywistości ogranicza się do naiwnego naśladowania bardziej uderzających, a mało istotnych form zewnętrznych kultury Europy zachodniej, zwłaszcza Paryża⁴³.

Ta poza poszukiwania ekspresji własnego „ja“ była tylko formą snobizmu, zdolną zresztą przemówić wyłącznie do nielicznego odłamu z pośród młodzieży, przybywającej do miast. Snobizm tego pokroju nie mógł zapuścić głębszych korzeni w społeczeństwie młodym, o niezmiernych jeszcze widnokręgach ekspansji gospodarczej, w którym entuzjazm i optymizm, a nie dekadentyzm i obraźliwe odwrócenie się nie tylko od konwenansów, lecz i od zdrowego rozsądku, musiały kształtować światopogląd żywiołu, napływającego na bruk miejski, niby do nowej ziemi obiecanej. To też kultura cyganerii intelektualnej i artystycznej pociąga wyłącznie niemal wykołajeńców, oraz bogatych próżniaków, fala zaś przybyszów, którzy wywalczają sobie stanowisko życiowe w wielkim mieście i najintensywniej żyją kulturą wielkomiejską, — omija skupienia jałowego dekadentyzmu⁴⁴.

b. Wiedza i uniwersytety

W żadnym bodaj społeczeństwie nie dokonał się w ciągu ostatnich paru dziesięcioleci tak gwałtowny zwrot ku wiedzy, jak w amerykańskim. Zwrot tym znamienniejszy, że nie wynika on bynajmniej z bankructwa romantyzmu i idealizmu, jak w Europie, w dobie szerzenia się pozytywizmu i materializmu, lecz z uznania korzyści, jakie nauka może przynieść. Jak zobaczymy, kryzys religii nie pochodzi tak dalece, jak można by wnosić z różnych „małpich“ kontrowersyj⁴⁵, z tego,

że dogmaty slają w sprzeczności ze światopoglądem, opartym na podstawach racjonalistycznych, tak jak to było w Europie.

Wiedza nie jest bożyszczem młodego pokolenia dlatego, że otwiera nowy świat przeżyć intelektualnych, ale przede wszystkim dlatego, że zdobycie jej stwarza widoki powodzenia życiowego oraz że wzmacnia znaczenie samopoczucie jednostki, wreszcie że utrwała jej sytuację społeczną. Wiedza poza zaspokojeniem tęsknot snobistycznych posiada celowość wybitnie utilitarną. W głębi kryje się ponadto jej sens naiwnie magiczny, że jest tym zaklęciem, które otwiera wrota pomysłowości, że jest potęgą, która oddaje do rozporządzenia niezmierzone bogactwa kontynentu, że powołuje do życia wartości, których bez jej udziału nie można byłoby zrealizować, obrócić w dolary.

Wiedza staje się w oczach tłumów kamieniem węgielnym „prosperity”. Przeciętny Amerykanin jest święcie przekonany, że powodzenie gospodarcze jego kraju spoczywa nie tylko na wartości moralnej jego „rasy”, lecz coraz bardziej na wielkim zasobie wiedzy, który został „zmagazynowany” w mózgach jej techników i przywódców ekonomicznych. Amerykanin czuje się jeszcze nieokrzesanym pod względem artystycznym i w zakresie nauk humanistycznych (aczkolwiek snobizm każe mu śpiesznie wyrównać te zaniedbania), w dziedzinie jednak wiedzy ścisłej i stosowanej uważa się za pana sytuacji. Wzmacnia to jeszcze jego uczuciowy stosunek do wiedzy, ponieważ daje mu ona dużo pewności siebie, pozwala zachować równowagę duchową w środowisku tak pełnym chaosu, niespodzianek, zewsząd czającej się niepewności i groźby, jakie stwarza walka o byt.

Wiara w wiedzę towarzyszyła już pierwszym kro-

kom, jakie purytanie postawili na lądzie amerykańskim. Pierwszym tedy dziełem kolonistów w Nowej Anglii było zakładanie szkół, „kolegiów“ (colleges) na wzór uniwersytetów angielskich. Znajdowała tu swój wyraz potrzeba posiadania dostatecznie oświeconego zespołu współwyznawców, urobionych w dyscyplinie moralnej szkoły wyznaniowej. Tkwiły w tym również dążenia do wyrównania krzywdy społecznej, jaką w starym kraju wyrządzał drobnemu mieszczaństwu arystokratyczny ustrój szkolnictwa, udostępniający je wyłącznie warstwom wyższym. Purytanie, tu, na swoich śmieciach, chcieli być równi lordom.

Jakiegokolwiek zresztą były ich motywy, stworzyli szkolnictwo, którego zasady narzucali następnie mniej oświeconym żywiołom ze stanów środkowych i południowych⁴⁶. W donie walk o niepodległość i szerzenia się wpływów racjonalizmu francuskiego Stany Zjednoczone były już przygotowane do przyjęcia ideałów epoki oświecenia.

Pochód ku zachodowi, potem stabilizacja kulturalna w łonie partykularza powstrzymały rozwój intelektualizmu na przestrzeni całego prawie w. XIX. Niemniej w parze ze wzrostem zaludnienia i poziomu oświaty rozwija się szkolnictwo, szczodłą ręką wyposażone przez jednostki i władze publiczne.

Jednakże do czasu przeobrażeń technicznych ostatniej doby, a zwłaszcza do czasu napływu młodzieży do wielkich miast, sprawa zdobycia wyższego wykształcenia specjalnego nie posiadała większego znaczenia. Wykształcenie takie było konieczne dla lekarzy, prawników, inżynierów — kierowników. Ogromna większość młodzieży zdobywała sobie niezależne stanowisko dzięki sprytowi i obrotności. Dyplomów nie wymagano, bo

skromny zasób wiadomości, zdobywanych w drodze praktycznej, wystarczał w zupełności.

Rosnąca złożoność procesów technicznych i organizacyjnych w wielkich przedsiębiorstwach, w rolnictwie, w przemyśle, w handlu przyczynia się do zwiększenia zapotrzebowania na wysoce wykwalifikowanych specjalistów w dziedzinach, w których do niedawna wystarczali podmajstrzowie i technicy z grubsza przeszkoleni. Dyplom zaczyna nabierać wartości, której dotychczas odmawiali mu praktyczni ludzie interesu, odnoszący się ze wzgardą do teoretyzowania, uprawianego w ich pojęciu w wyższych uczelniach. Metoda praktycznego sprawdzania wiadomości pracownika, stawiania go wobec określonego zadania bez uprzedniego zadawania mu pytań co do kwalifikacyj okazuje się już nierealna wobec rosnącej trudności opanowania złożonych procesów technicznych.

Dyplom nabiera również znamion dowodu wyższości intelektualnej posiadacza, pomimo sarkazmów, jakimi prześladują go jeszcze praktycy, niechętnie spoglądający na narastanie nowego przywileju społecznego, który zaczyna stwarzać wykształcenie, zwłaszcza wyższe.

Niemniej coraz wyraźniej zarysowuje się związek między sytuacją materialną oraz powodzeniem życiowym a posiadaniem dyplomu uniwersyteckiego. Ten związek zaś w oczach społeczeństwa amerykańskiego stanowi dowód rozstrzygający o wartości wyższych uczelni.

Dyplomy posiada tedy większość zamożnych ludzi interesu, pod których fortuny położyli podwaliny już ich ojcowie. Jako młodzieńcy z lepszej sfery uczęszczali do uniwersytetów, ponieważ było to związane z ich stanowiskiem majątkowym.

Młodzież uboga z wyższym wykształceniem osiąga również bardziej widoczne rezultaty życiowe od rówieśników, którzy nie zdołali zdobyć dyplomu. Często zresztą nie wiąże się to z korzyściami, jakie dyplom daje bezpośrednio. Oto uniwersytet, do którego rwie się każdy młody, dokonywa selekcji. Od ubogiego wymaga szczególnie dużego wysiłku (opłaty są wysokie, trzeba ciężko nieraz na nie zapracować) oraz znacznej dozy sprytu. Rzecz oczywista, że z pośród niezamożnych, tylko dzielniejsi, zaradniejsi życiowo kończą studia. Potem, skoro zajmują już stanowiska, które zdobyli sobie dzięki sprytowi i zręczności, podkreślają, że zawdzięczają je zdobytej wiedzy. Z „alma mater“ wiążą ich uczucia sentymentu, które rozdmuchują snobistyczne stowarzyszenia wychowanców (alumnów), dbające o to, by wciąż nowe dary powiększały fundusze uczelni i rozgłaszające w tym celu jak wiele dla powodzenia życiowego młodzieży przyczynił się ten czy inny uniwersytet. Wychodzące ze szkół średnich pokolenie upaja się tymi widokami i z zapałem garnie się do uniwersytetów.

Oczywiście w grę wchodzi tu również inne względy, wzmagające popularność wyższych uczelni. Na wzór arystokratycznych uniwersytetów angielskich, kolegia amerykańskie uczyniły ze sportu główny niemal ośrodek swojej aktywności. Drużyny uniwersyteckie stwarzają poczucie „esprit de corps“, tak cenione w Stanach Zjednoczonych. Szkoły najwyżej stojące pod względem poziomu nauczania, mają również najlepiej zorganizowaną kulturę fizyczną. W przeciwnym razie nie mogłyby liczyć ani na odpowiednio wysokie dotacje, ani ściągnać dostatecznego zastępu słuchaczy.

Wyższa uczelnia jest z jednej strony terenem intensywnego życia społecznego uczącej się młodzieży,

z drugiej dostarcza szerokiego pola do wyczynów, do opisu zdolności i sprawności. Zarówno sprawności fizycznej, jak i umysłowej (jakkolwiek znacznie mniejszy zastęp studentów ma ambicje intelektualne). Ten rozmach życiowy, znajdujący wyraz w dążeniu do rekordów równie mechanicznych w zakresie siły mięśni, jak umysłu, stanowi obok położenia głównego nacisku na bezpośrednie korzyści użyteczne nauki, — zasadniczą treść pracy na wyższych uczelniach.

Cały ustroj nauki uniwersyteckiej jest tego rodzaju, że nie potrafi wytworzyć żywszej atmosfery kulturalnej. Wiąże się to ściśle z obliczem duchowym ciała profesorskiego, które w coraz większym stopniu zaczyna odgrywać rolę śmietanki intelektualnej w kraju, dotychczas wzdorliwie traktującym wszelką elitę, poza elitą pieniądza, ekranu i wyczynu sportowego.

Wprawdzie dopiero depresja i reformy Roosevelta spopularyzowały ideę „trustu mózgów“ i potrzeby bezpośredniego udziału elity intelektualnej w zakresie kierownictwa sprawami kraju⁴⁷, niemniej przeto już w dobie „prosperity“ liczne komisje, instytuty, organizacje naukowe, nieszczędzące zresztą reklamy, podniosły znakomicie autorytet skromnego dotychczas stanowiska społecznego profesorów.

Dają się oczywiście jeszcze we znaki pozostałości pogardliwego i lekceważącego ustosunkowania się ludzi interesu wobec życiowo mało poradnych, źle płatnych „bakalarzy“. Wykładowcami na wyższych uczelniach były do niedawna jednostki przeważnie mało zdolne i przedsiębiorcze. Przy tym, w przeciwieństwie do Europy, nie mogły rekrutować się ze sfer posiadających wyższą kulturę intelektualną, bo sfer takich, poza miastami nadatlantyckimi, nie było. Skutkiem tego do ostatnich niemal czasów fakultety uniwersyteckie były

schronieniem dla osób temperamentalnie martwych i tępych, zadowolających się byle czym. Jedynie nieliczni profesorowie europejskiego pokroju, wychowani przeważnie w stanach Nowej Anglii, względnie wykształceni na uniwersytetach angielskich i niemieckich, starali się utrzymać jaki taki poziom nauczania.

Powojenny rozwój uniwersytetów wywołał wprawdzie z jednej strony konieczność powoływania na stanowiska profesorskie znacznej liczby jednostek zupełnie nieprzygotowanych, z drugiej jednak wzmógł dopływ osób o wyższych aspiracjach życiowych. Wiąże się to zarówno z poprawą warunków materialnych, jak i z podniesieniem autorytetu powagi wiedzy i uniwersytetów. Zostaje zmontowany aparat naukowy, zdolny do znacznej sprawności technicznej w zakresie nauczania oraz wykonywania prac badawczych.

Pomimo to trudno oprzeć się wrażeniu, że poziom intelektualny pozostaje nadal niski, jakkolwiek retoryka naukowa osiągnęła imponujący stopień rozwoju znajdujący wyraz w stosach publikacji z zakresu nauk teoretycznych. Z wyjątkiem zupełnie nielicznych jednostek, przeważnie pochodzenia europejskiego⁴⁸, profesorowie są nadal ludźmi bardzo mało twórczymi⁴⁹. Praca naukowa jest dla nich fachem, w najlepszym zaś razie polem do popisu wobec szerszej opinii publicznej. Dotyczy to zwłaszcza pracowników na polu nauk humanistycznych, mogących mieć najsilniejszy wpływ na kształtowanie kultury narodowej.

Zdolniejsi dbają o zrobienie kariery, zdobycie poświaty, który najłatwiej uzyskać, jeżeli będzie się wygłaszało łatwo zrozumiałe przez masy komunały, ubrane we frapującą formę, zdolną wzbudzić przekonanie o głębokiej uczoności frazesów. Nauka w rękach tych ludzi staje się pustą frazeologią, zręcznie zastosowaną,

lecz pozbawioną zupełnie głębszej perspektywy intelektualnej. Są to dziennikarze ucharakteryzowani na profesorów⁵⁰.

Wiedzę na uniwersytetach traktuje się, jako szczebel kariery życiowej, wyczyn dla popisu. Właściwej atmosfery pracy intelektualnej dla niej samej, nie dla wyników ubocznych — nie ma zupełnie. Nic dziwnego, że student, wyrosły zresztą w utylitarnej i snobistycznej atmosferze domu, szkoły niższej i średniej, nie nasiąka żadnymi nowymi pierwiastkami kulturalnymi. Zdobywa pewien zasób wiadomości, umiejętność spożytkowania ich możliwie efektownie i życiowo korzystnie⁵¹. Uniwersytet prowadzi w dalszym ciągu pracę, podjętą w szkołach, w kierunku jak najsilniejszego „uspołecznienia“ jednostki, wyrobienia zdolności kontaktowania w gromadzie, formułowania poglądów, znajdujących poklask w masie, sugerowania twierdzeń, korzystnych dla osobnika oraz dla grupy, z którą zżywa się na gruncie uniwersyteckim. Profesorowie, wygłaszający twierdzenia, które wchodzą w kolizję z zachowawczym światopoglądem ciał nadzorczych uniwersytetów, bywają w krótkim czasie usuwani z zajmowanych stanowisk jako niebezpieczni „radykałowie“. Zresztą i w nielicznych ośrodkach, w których panuje większa swoboda myśli i prawo dyskutowania bolączek społecznych, światopogląd arywistyczny nie jest wyraźnie kwestionowany, nie dochodzi zazwyczaj do wybujałości, zbyt rażących konwencjonalizm amerykański. Młodzież bowiem wybiera drogi życiowe „zdrowe“, t. j. takie, które mogą doprowadzić ją do kariery⁵².

Nauka (która w braku innych żywotniejszych placówek promieniuje wyłącznie niemal z uniwersytetów) pozostaje przeto na usługach gospodarowania i współżycia społecznego. Nie staje się sama w sobie elemen-

tem kulturalnie twórczym. Niezdolna jest rozwinąć głębszych zainteresowań, które wypełniły by chwile wolne od pracy, chwile coraz wyżej cenione przez Amerykanina, i odgrywające w życiu jego coraz większą rolę. Rozrywka wypełnia coraz szczelniej ten czas, stwarza mnóstwo silnych i doniosłych przeżyć kulturalnych, których życie intelektualne, ani artystyczne dostarczyć nie mogło.

c. Rozrywka

Ortodoksyjny purytyzm patrzy krzywym okiem na wszelką „światową“ rozrywkę. Niemniej w miarę opisanej już laicyzacji partykularza musiał zacząć robić ustępstwa na rzecz żywiołowej skłonności do beztroskiej, hałaśliwej zabawy, właściwej środowisku ludzi silnych, przedsiębiorczych, upojonych powodzeniem życiowym, oddychających pełną piersią w atmosferze zupełnej swobody politycznej i bezwzględnej demokracji. Amerykanin szybko poznał korzyści, jakie daje radość życia. Całe prawie życie małomiasteczkowego partykularza znamionuje dążenie do zorganizowania rozrywki gromadnej, wypełniającej czas wolny od zajęć zarobkowych.

Dopiero jednak na gruncie wielkomiejskim rozrywka zaczyna zajmować dominujące stanowisko, jako główny, jeżeli nie jedyny cel w życiu. Jest silniejsza nawet od zakorzenionej dotychczas chęci posiadania, cieszenia się własnością, tak charakterystycznej dla środowiska amerykańskiego, a znajdującej wyraz w ideale własnego domku z ogródkiem dla każdej rodziny. Teraz ideał ten błędnie w zestawieniu z pragnieniami, rozbudzonymi przez bardziej pociągające sposoby spędzenia wolnego czasu poza domem: w samochodzie,

na grach sportowych, w parkach, w salach widowiskowych, klubach itp.

Rozrywka jest przede wszystkim bardziej potrzebna dla przemęczonych nerwów życiem wielkomiejskim, niżeli była w spokojnej, prawie sennej atmosferze małego miasteczka. Nerwy są wyczerpane napięciem i dużą monotonią wysiłku, a jednocześnie niezwykle silnie rozbudzone. Wymagają tedy usunięcia przymusu i jednostajności, a równocześnie nie znoszą już zupełnego rozprężenia, jakie daje bezwzględny wypoczynek w bezruchu. Reakcja taka mogłaby odbić się nawet fatalnie na samopoczuciu jednostki, której system nerwowy jest doprowadzony do tak silnej aktywności, że wymaga wciąż nowych podnieć. Psychicznie każdy prawie Amerykanin, żyjący w środowisku wielkomiejskim, jest narkomanem, wymagającym wciąż nowych mocnych podnieć. Ten stan naprężenia wytrzymuje zazwyczaj bez większych przeszkód dla organizmu, dzięki zdrowotności klimatu, sile organizmu, odpowiedniej diecie. Musi jednak wciąż obracać się w kołowrotku zabaw, inaczej grozi mu niebezpieczeństwo gwałtownego rozprężenia, które może pociągnąć za sobą zupełne załamanie duchowe. Broniąc się instynktownie przeciwko temu załamaniu, żyje w nieustannej pogoni za rozrywką, zapelniającą każdą wolną chwilę.

Na rozpowszechnienie rozrywki ma wpływ nielada i to, że w dziedzinę produkcji wytworów i usług w tym zakresie wkroczyły ostatnio wielkie kapitały, czyniące wysiłki w kierunku zdobycia i zorganizowania rynku. Na wszystkie sposoby, posługując się wszelkimi metodami reklamy i zjednywania sobie spożywców, starają się wciągnąć do nawyków rozrywkowych całe społeczeństwo, bez różnicy położenia majątkowego, płci i wieku. Kładą możliwie największy nacisk na rozsze-

rzenie pojemności rynku poprzez demokratyzację swoich produktów, oraz na wyrobienie odpowiednich przyzwyczajeń w młodym pokoleniu.

Równocześnie instytucje społeczne (nie wyłączając kościołów, o czym jeszcze będzie mowa) współzawodniczą z przedsiębiorstwami obliczonymi na zysk, starając się zwabić ku sobie szerszą publiczność wyłącznie niemal za pomocą przynęty rozrywkowej. Odbывается wprost szaleńczy wyścig dla pozyskania sobie kieszeni i dusz ludzkich przez dostarczanie masowych dreszczów (thrills) nowości, sensacyj, radości życia, a nawet po prostu przez stworzenie sposobności do zawrotnego ruchu, tłumnego upojenia.

Oddziaływanie różnych rodzajów rozrywek bywa rozmaite. Rozrywki mogą być indywidualne i zbiorowe, bierne i czynne, t. j. bądź rezerwujące dla uczestnika rolę widza, bądź też wciągające go do współudziału w zabawie. Pod względem skutków społecznych to drugie rozróżnienie wydaje się bardziej doniosłym.

1) *Rozrywki bierne*

Czytelnictwo. Pod kątem widzenia oddziaływań kulturalnych trzeba tutaj wziąć pod uwagę przede wszystkim czytelnictwo dla celów dydaktycznych. Wchodzi tu w grę studiowanie dzieł naukowych i podręczników, jako uzupełnienie nauki szkolnej, czy samouctwo, dosyć szeroko w Ameryce rozpowszechnione i popularyzowane przez różne wydawnictwa specjalne. Zwłaszcza duże znaczenie mają kursy korespondencyjne, które starają się wmówić w klientów, z natury rzeczy ufnych w swoje siły, że potrafią ich nauczyć wszystkiego, co tylko może im być w życiu pożyteczne. Uczenie przez korespondencję, czy samouctwo zyskuje coraz pocześniejsze miejsce i podnosi znaczenie czytelnictwa, korzystającego z ogromnych ułatwień, dzięki istnieniu bo-

gatyh i łatwo dostępnych bibliotek. Snobizm jest również jednym z motywów czytelnictwa poważnego — chodzi o to, by mieć o czym mówić w towarzystwie, nade wszystko móc się popisać⁵³.

Niemniej to czytelnictwo dla zdobycia wiedzy i wiadomości fachowych nie stoi w żadnym stosunku do czytelnictwa rozrywkowego, zapelniającego czas jazdy koleją podmiejską z domu do miejsca pracy, rzadziej zaś wolne chwile w domu. Książka niezbyt zresztą często znajduje się w ręku takiego masowego czytelnika — co najwyżej w postaci taniego wydawnictwa seryjnego, lub magazynu powieściowego⁵⁴. Gazeta zajmuje stanowisko bezkonkurencyjne.

L. Krzywicki już przed laty czterdziestu⁵⁵ zwrócił uwagę, że w Ameryce dokonywa się atrofia książki na rzecz gazety. Wysnuł przypuszczenie, że pismo codzienne wypiera coraz bardziej literaturę nieperiodyczną, poważniejszej treści. W rzeczywistości nie książka, lecz dopiero gazeta wogóle stworzyła w Ameryce czytelnictwo, tak samo zresztą, jak w środowiskach ludowych w Europie. Książka, nawet na zapadłym partykularzu, nigdy nie była tak czytana, jak miejscowe pisemko.

Na wielkomijskim bruku dokonała się już w końcu XIX w. doniosła ewolucja w zakresie prasy periodycznej, przede wszystkim codziennej. Prasę lokalną, pod względem zainteresowań drobnomieszczańsko-plotkarską — zastępują wielkie, dzienniki sensacyjne o paruśettysięcznym nieraz nakładzie. Starają się podchwycić wszystkie ważniejsze zainteresowania czytelników i wszystkie zaspokoić. Mogą to uczynić, bo rosnący nakład pozwala na rozszerzanie rozmiarów materiału redakcyjnego. Najsilniejszy nacisk kładą na to, co najbardziej hipnotyzuje tłumy.

„Nowiną jest wszystko to, co skłania ludzi do roz-

nowy“, powiedział Charles Dana, wielki dziennikarz starej daty⁵⁶. Powiedzenie to odzwierciadla znakomicie epokę w rozwoju prasy, kiedy gazetę czytało się niemal zbiorowo i czytało się po to, by czerpać z niej materiał do plotki. W owej epoce gazeta była czytana w domu, często podawana z rąk do rąk. Jednała sobie czytelników swoimi poglądami społecznymi i politycznymi, zasobem wiadomości, przyjemnym tonem, niekiedy nawet czymś w rodzaju „Gemütlichkeit“.

„Nowiną jest wszystko to, co zmusza czytelnika, by wykrzyknął: o la Boga! (gee whizz!)“, powiedział A. Mc. Ewen, jeden ze współpracowników twórcy największego koncernu prasowego świata — Hearsta. Chodzi o to, by czytelnik, biorąc do ręki gazetę, poszukiwał od razu wśród tytułów dreszczu sensacji. Z chwilą, gdy dziennik stanie się taką nieodzowną codzienną podniecią, wtedy dopiero może liczyć na masowe zapotrzebowanie.

Musi pochłaniać uwagę czytelnika. Nie chodzi już bynajmniej o to, by wiadomości rozchodziły się, budziły zainteresowanie osób, które na ten temat utną dłuższą pogawędkę, i by na tej drodze jeden czytelnik zjednywał innych dla poglądów, wygłoszonych w gazecie. Tak sprawy stały dopóki prasa służyła celom grup politycznych, gdy w grę wchodziły przede wszystkim idee, nie zyski z obrotu. Teraz chodzi o to, by każdy kupował, każdy czytał sam⁵⁷. Jako narkotyk gazeta stara się przemówić bezpośrednio do jednostki. Odsobnia ją niejako, zajmując teraz niepodzielne miejsce na piedestale, który dawniej czytelnik automatycznie rezerwował sobie dla opinii publicznej, wówczas gdy wchodził w styczność ze słowem drukowanym. To znaczy, że przed tym było niezbędnym, żeby w świadomości czytelnika wytwarzało się przekonanie, że inni czytają te same no-

winy, przejmują się tymi samymi poglądami. Obecnie
względ ten traci coraz bardziej na znaczeniu. Gazetę
czyta się samotnie, w miejscach, w których przewija
się tłum ludzi zupełnie obcych. Sposób redagowania
jest taki, by czytelnik znalazł zawsze dział, który cał-
kowicie pochłonie jego uwagę, każe mu zapomnieć o
wszystkim, co dzieje się dokoła.

Gazeta zaczyna przeto wywierać wpływ izolujący
społecznie, podczas gdy do niedawna oddziaływanie
szło w kierunku wręcz przeciwnym. Jednocześnie sen-
sacja, gra na wykorzystanie zainteresowań szkodliwych
dla życia zbiorowego, grzebanie się w skandalach, opi-
sach zbrodni, przestępstw, nadużyć, rozdmuchiwanie
do wielkich rozmiarów demoralizujących szczegółów,
był tylko przykuć ruchliwą uwagę czytelnika — wszyst-
ko to sprawia, że prasa propaguje momenty społecznie
patologiczne. Wywiera to specjalnie ujemny wpływ na
młode pokolenie, które w ten sposób styka się stale z ety-
ką i metodami działania świata podziemnego, przedsta-
wionymi często, jeżeli nie w sposób pociągający, to w
każdym razie budzący żywe zainteresowanie.

Jak wspomniałem, inne dziedziny czytelnictwa nie
mogą równać się pod względem wpływów z gazetą. Po-
nadto, jeżeli nie służą celom praktycznym lub nie za-
spakają pożytecznej, lubującej się w „wy-
kwintnej“ książce, coraz bardziej upodabniają się do
gazety pod względem poruszanych tematów, sensacyj-
nych ujęć oraz powierzchowności. O ileby nie dosto-
sowały się do tych wymagań, straciłyby czytelników.

Teatr, zwłaszcza w pierwszych fazach swego roz-
woju w Grecji, czy średniowiecznej Europie, posiadał
charakter wybitnie uspołeczniający. Był formą gromad-
nego wyżycia się w atmosferze silnych wzruszeń, któ-
rych dostarczała fikcyjna akcja sztuki. Charakter ten

traci z chwilą, gdy staje się przedsiębiorstwem zawodowym, rozrywką dla biernych widzów.

Na kontynencie amerykańskim teatr nie mógł się zrazu zupełnie rozwinąć, albowiem spotykał się z oburzeniem ze strony purytańskiej opinii, która widziała w nim jeden z objawów zepsucia, szerzącego się wśród możliwych tego świata⁵⁹. Wskutek tego Ameryka nie wykształciła własnego teatru ludowego, a teatr zawodowy rozwinął się dopiero w postaci silnie skomercjalizowanej w drugiej połowie XIX w. Poziom tego teatru był niski, pomimo wirtuozostwa aktorów, którzy przez całe lata grywali jedne i te same role⁶⁰. Pomimo żywoci reakcji ze strony widowni, kultura teatralna znajdowała się na bardzo niskim poziomie⁶⁰. Co w danym wypadku ma szczególną wagę: nie wytwarzała się trwalsza niż współzycia między widownią a sceną.

Nic tę nawiązał dopiero *kinematograf*, który dał szerokim rzeszom ludności amerykańskiej właściwe wyżycie się w dreszczu, jaki może dać scena. W ciągu lat kilkunastu kino stworzyło cały nowy świat głębokich i bezpośrednich wzruszeń, przewyższający znacznie pod względem napięcia przeżycia, jakich dostarcza drukowana sensacja. Jak słusznie podkreślił G. Duhamel, kino drażni, a nie daje zaspokojenia⁶¹. Przez to wzmacnia nałóg, o który tak bardzo chodzi zarówno producentom filmów, jak koncernom, władającym salami kinematograficznymi.

W ciągu tygodnia przesuwają się przez kinoteatry liczba osób, niewiele ustępująca całej ludności Stanów Zjednoczonych⁶². W wielkich miastach znaczna część mieszkańców spędza w kinach w ciągu tygodnia parę wieczorów, popołudni, czy poranków (jeżeli chodzi o kobiety, nie pracujące zarobkowo). Zwłaszcza u dzieci i młodzieży nawyk uczęszczania do kina zakorzenia się

coraz bardziej. Kinoteatry starają się wyrobić przyzwyczajenie, udzielając znacznych ulg w cenach biletów dla młodocianych widzów.

Kino jest rozrywką wybitnie bierną, jakkolwiek silnie pobudza fantazję widza. Ekran, zastępujący żywych aktorów, uniemożliwia nawiązanie jakiejkolwiek, nawet dorywczej więzi zbiorowej między sceną a widownią. Wprawdzie następnie wrażenia bywają szeroko dyskutowane, zwłaszcza wśród dzieci, i często służą za podstawę do zabaw zbiorowych. Ponadto wytwarza się bałwochwalczy kult gwiazd ekranu, kult niemal zbiorowy. Niemniej jednak wiele silnych wzruszeń, które do niedawna były możliwe jedynie w atmosferze rozrywki gromadnej, teraz zostaje wywołane przez obcowanie z cieniami, rysującymi się na ekranie. Przeżycia o tak znacznym nasileniu nie były dotychczas możliwe w samotności. Również pod tym kątem widzenia należy brać pod uwagę czas, jaki zajmuje uczęszczanie do kina, czas, stracony już dla innych rozrywek zbiorowych.

Równocześnie silniej jeszcze, niż gazeta, podsuwa kino wzory, sprzeczne z moralnymi normami środowiska. Akcja jest plastyczniejsza kiedy przebiega w serii obrazów, niż wtedy, kiedy czytelnik musi odtwarzać sobie opis. Dostyc wspomnieć o popularności t. zw. filmów gangsterskich. Pobudzający erotycznie wpływ filmu jest ogromnie doniosły. Kino dopiero spopularyzowało publiczne niemal zaloty, tak sprzeczne z purytańską rezerwą i hipokryzją. W celach kasowych kino stało się głównym szermierzem walki o swobodę obyczajów. Pod przezroczystą osłonką pozornej zgodności z obowiązującą etyką, film broni swobody postępowania jednostki i tłumaczy wszelkie wykroczenia, przyoblekając niekiedy w szatę niewinności zupełne „moral insanity”⁶³. Te-

go rodzaju drażnienie ukrytych pragnień, zwłaszcza erotycznych, przy jednoczesnym zachowaniu pozorów znakomicie odpowiada pruderii amerykańskiego widza.

Również w zakresie zbliżenia do zbrodni i świata przestępczego kino spełnia swoistą rolę instruktywną. Ogromny realizm akcji sprawia, że w świadomości widza zaciera się granica między fikcją obrazu a rzeczywistością codzienną, w której się obraca. Rozpływają się różnice między czynem przestępczym a postępowaniem zupełnie normalnym. W zacieraniu granic między moralnym a niemoralnym kino spełnia bardzo doniosłą rolę.

Wpływ *radia*, pomimo jego rozpowszechnienia, nie sięga w żadnym wypadku tak daleko, jak kina i gazety. Najwięcej cenione bywa ono, jako źródło lekkiej muzyki. Zastępuje często patefon, ponieważ przy znacznej liczbie stacyj, łatwo uzyskać muzykę taneczną. Pomaga niekiedy do stworzenia atmosfery zbiorowej zabawy. Głośnik radiowy gromadzi też często całą rodzinę w bawialnym pokoju.

Wskutek tego oddziaływanie radia jest raczej uspołeczniające. Niemniej jednak nie należy przeceniać siły tego oddziaływania w wielkim mieście. Radio często daje głośno znać o sobie, ale nikt go nie słucha: za nadto bywa nadużywane dla celów reklamowych. Jest to nowy hałas wśród ogłuszającej kakofonii dźwiękowej, wypełniający wielkomiejskie środowisko.

2) *Rozrywki czynne*

Rozrywki, w których organizacji jednostka bierze czynny udział, dostarczają znacznie większej sposobności do wyżycia się, są przeto znacznie bardziej pożądane dla przedsiębiorczego Amerykanina, pełnego niewykorzystanych zasobów energii i siły fizycznej.

Rozrywka czynna jest przede wszystkim zbiorowa,

zabawy zupełnie samotnej Amerykanin nie mógłby nawet pojąć⁶⁴. Potrzeba mu możliwości wygadania się, a bodaj wykrzyczenia się w tłumie, w atmosferze zbiorowego podniecenia. Tu w całej pełni występuje żywiołowa towarzyskość amerykańska, każda zabawa przemienia się wkrótce w tłumną orgię, w której uczestniczą wszyscy, nawet ludzie zupełnie sobie obcy.

Rozrywki zbiorowe utrzymują nadal żywość styczności społecznych, a zwłaszcza łatwość natychmiastowego ich nawiązywania. Komercjalizacja w zakresie lokali rozrywkowych, rozwój dancinów, kabaretów i różnych klubów nocnych, w których ocierają się o siebie ludzie zupełnie obcy, nie niweczy atmosfery jowialnej, hałaśliwej przyjacielskości, nie wprowadza sztywnych raczej nastrojów, właściwych takim lokalom w wielu krajach Europy.

A przecież, pod powierzchnią tej łatwej, beztroskiej towarzyskości, dokonywa się zanik trwalszych pod kątem widzenia więzi społecznej zbiorowych podstaw życia rozrywkowego. Przede wszystkim już przez to samo, że bez trudu nawiązuje się znajomość, że wyłączość towarzyska prawie nie istnieje, zabawa nie staje się czynnikiem trwalej wiążącym. O kompanie hucznej zabawy zapomina się z chwilą, gdy traci się go z oczu. Zwarte kółka towarzyskie, posiadające rację bytu, gdy bawiono się przeważnie w domach prywatnych, rozpływają się w licznych grupkach, w skład których wchodzi się doraźnie, z żadną nie zżywając się bliżej.

W „paczkach“ takich panuje często zupełna „anonymowość“, to znaczy, że uczestnicy zaledwie znają swoje nazwiska, nic o sobie nie wiedzą i zresztą mało się sobą interesują. Dla wielu w tym właśnie kryje się ogromna część uroku zabawy. W ten sposób można bowiem wymknąć się z pod kontroli zorganizowanych

grup społecznych, z pod srogo karcącego oka opinii rodziny, sąsiadów, towarzyszy pracy.

Samochód, ułatwiający przenoszenie się z miejsca na miejsce, zdala od dzielnicy, w której czyha niebezpieczeństwo ujawnienia grzeszków przeciw „respectability“, sprzyja kojarzeniu dorywczych grupiek, wynajdywaniu odpowiednich lokali zabawowych, ciągłej wędrówce w poszukiwaniu nowych wrażeń. Alkohol stwarza atmosferę silnego podniecenia oraz podnosi temperaturę pijackiej serdeczności między osobami zupełnie sobie obcymi. Dotyczy to zwłaszcza prohibicji i ukrytych po kieszeniach flaszek z napojami. Wreszcie podniecenie erotyczne odgrywa ogromnie ważną rolę w dorywym kojarzeniu się par⁶⁵.

W tej atmosferze wielorakich podniet rozwija się bogate w silne przeżycia „życie nocne“ (night life), kompensujące zmęczenie pracą dzienną, a raczej stanowiące narkotyk, który oszołamia, rodzi złudzenia zadowolenia z życia, poczucia mocy, swobody, bez troski.

Życie nocne jest buntem przeciwko przymusowi dnia codziennego, niewolniczemu poddaniu się konwenansom, tłumieniu popędów. Drga w nim nuta protestu przeciwko całej sieci pajęczej zwyczajów i obyczajów, które przyjmuje się bez zastrzeżeń na trzeźwo, w kieracie pracy zawodowej i obowiązków społecznych, lecz które w rzeczywistości ciążą przemęczonym nerwom. W tym odprężeniu rozrywki niczym nie krępowanej tracą moc wewnętrzną spoidła, utrzymujące jednostkę w żywym kontakcie ze zorganizowaną społecznością⁶⁶. Coraz bardziej stają się jedynie pozorami, które zachowuje się gwoili utrzymania swojego stanowiska w świecie interesów.

Rozrywka wskazała drogę ucieczki z pod jarzma konwenansu, umożliwiła szukanie kontroli społecznej,

tak uciążliwej do niedawna w światku partykularza. Jednocześnie zbliżyła szanujących się obywateli do świata podziemnego, w którego rękach znalazło się całe prawie życie nocne w okresie prohibicji.

Sport, zamiłowanie do ruchu fizycznego i rozrywki na świeżym powietrzu, stanowi do pewnego stopnia przeciwwagę rozrywki nocnej. Oczywiście zainteresowanie sportem staje się w znacznym stopniu bierne, ogranicza się do przyglądania się grom i wyczynom zawodników, czy drużyn wysoce wykwalifikowanych, oraz do zakładów. Niemniej sporty zespołowe (zwłaszcza różne rodzaje gry w piłkę) pochłaniają dzieci i młodzież. Starsze pokolenie, przez snobizm, czy dla zdrowia oddaje się golfowi. Rozwijają się kluby sportowe, w których na tle akcji, zmierzającej ku zapewnieniu sobie urządzeń sportowych, zawiązują się bliższe stosunki towarzyskie.

Samochód może mieć w tej dziedzinie wpływ społecznie dodatni: ułatwia ucieczkę poza miasto do wielkich parków podmiejskich i rezerwatów leśnych. W czasie lata odbywają się masowe wędrowki do parków i lasów narodowych, w których obozuje się tłumnie w namiotach, czy pod gołym niebem w atmosferze niefrasobliwej prostoty, przypominającej czasy koczowisk pionierskich. Rodziny wędrują często razem, co wpływa dodatnio na wzajemne zżycie, tak opornie idące w środowisku miejskim, wobec rozbieżności zajęć i zainteresowań poszczególnych członków rodziny (porówn. rozdz. III).

To obcowanie z przyrodą i nawiązywanie kontaktów w płaszczyźnie świadczenia sobie drobnych usług, w atmosferze, pozbawionej jakichkolwiek pierwiastków społecznie destrukcyjnych, przeciwdziała niewątpliwie ujemnym skutkom, jakie na zorganizowaną więź

grupową wywiera rozrywka wielkomicjska, zarówno w swoich postaciach biernych, jak czynnych. Odpoczynek, dany nerwom ma również wpływ bardzo doniosły.

Przeciwdziałanie to jest jednak naogół dosyć słabe w zestawieniu z siłą, z jaką wdziera się do życia zbiorowego rozrywka, krzewiąca się na bruku wielkiego miasta. W tej dziedzinie panoszy się wszechwładnie atmosfera chorobliwego wręcz podniecenia. Komercjalizacja, uwzględniająca wyłącznie momenty kasowe, panuje niepodzielnie nad zasadniczymi kierunkami rozrywki, pomimo nieśmiałych wysiłków instytucyj społecznych, które chcą opanować sytuację, a kończą na tym, że zaczynają niezdarnie naśladować metody kapitalistycznego business'u rozrywkowego.

Rozrywka bądź wyrzywa jednostkę ze środowiska i dotkliwie ją osamotnia, bądź też tworzy dorywcze grupy, które zastępują trwalsze więzi społeczne, często nawet im się przeciwstawiają, podniecają ducha buntu przeciwko istniejącym więziom życia zbiorowego. Niekiedy nawet nawiązuje się na tej drodze kontakt ze światem przestępczym.

Brak jakiejkolwiek głębszej kultury intelektualnej, zainteresowań naukowych, czy artystycznych nie stawia tamy ujemnym społecznie stronom życia rozrywkowego. Czasami wkracza tylko snobizm, krępujący nieco jaskrawe objawy wyuzdania w imię postulatów wyższej społecznie „klasy“ zachowania się w zbiorowości. Młodzież zwłaszcza, zebrawszy się, zachowuje się niekiedy godnie, popisuje się wzajem wobec siebie formami towarzyskimi, wiadomościami, uzdolnieniami artystycznymi. Nie trwa to zazwyczaj długo i jakkolwiek popis społeczny jest sam w sobie rodzajem rozrywki, nie może jednak opanować wybujałego pragnienia ruchu, zbiorowego podniecenia.

Snobizm takiej gry towarzyskiej nie wpływa również wydatniej na utrwalenie istniejących więzi społecznych, chociaż niewątpliwie godzi wiele jednostek z uciążliwymi stronami konwenansu.

Rozdział III

PRZEMIANY WIĘZI SPOŁECZNEJ

1. *Sąsiedztwo*

Przeobrażenia gospodarcze i kulturalne odbijają się tysiącnymi drogami, bądź bezpośrednio, bądź też pośrednio na środowisku społecznym. Przede wszystkim ulega przekształceniu otoczenie sąsiedzkie pod wpływem zmian w trybie życia, w przyzwyczajeniach, w sposobie odnoszenia się do najbliższego otoczenia materialnego.

Wielkie miasto amerykańskie urastało z nagromadzenia zamkniętych w sobie osiedli, powiązanych jedynie wspólną centralną dzielnicą handlową (downtown). Już z chwilą, kiedy skupienie zaczynało przekraczać kilkanaście tysięcy mieszkańców, zamożniejsi z pośród nich opuszczali środkową część miasta, gdzie zapano- wywały niepodzielnie sklepy i biura. Natomiast na krańcach powstawały dzielnice dworkowe, zadrzewio- ne, z trawnikami dokoła domków i pałacyków, zajmowa- nych przez rodziny businessman'ów.

Ojciec rodziny spędzał cały dzień w dzielnicy in- teresów, powracając po pracy do domu na przedmieś- ciu, w którym po godzinach biurowych prowadził taki sam tryb życia, jak w małych miasteczkach: w zamknię- tym kółku sąsiedzkim, zdala od gwaru wielkomiejskie-

go środowiska. Reszta rodziny z otoczenia tego wogóle się nie wydalała.

Życie sąsiedzkie kwitnie, skupione dokoła parafii, łóz i klubów miejscowych, atmosfera partykularza utrzymuje się w formie prawie nieskażonej.

W miarę rozrastania się dzielnicy handlowej oraz najbliższych jej okolic, zabudowanych zwarto i zamieszkanymi przez ludność ubogą, rekrutującą się przeważnie z pośród przychodźców — osiedla mieszkalne warstw zamożniejszych rdzennie amerykańskiego pochodzenia przesuwają się coraz dalej ku krańcom⁹⁷. Te wędrówki odbywały się z dużą regularnością, co 20—25 lat mniej więcej, w miarę tego, jak tandetnie, na efekt budowane domki niszczały oraz stawały się przestarzałymi pod względem urządzeń wewnętrznych (brak łazienek, ulepszonych systemów ogrzewania, instalacji kuchennych, lodowni itp.). Jednocześnie spekulanci terenowi i budowlani oddawali do użytku nowe dzielnice, nęcące elegancją, społeczną wyłącznością i reklamowym „arystokratyzmem“. Wzgląd na wygodę, na dobre powietrze, obok motywów czysto snobistycznych rozstrzygał i przyczyniał się do ucieczki z dawnych dzielnic. Zrazu emigrowały pojedyncze rodziny, następnie całe sąsiedztwa, za którymi ciągnęły instytucje, koncentrujące lokalne życie społeczne (kościół, kluby itp.).

Na nowym miejscu odbudowywało się z powrotem środowisko sąsiedzkie o składzie bardzo zbliżonym do dawnego. Życie podmiejskiego partykularza nie traciło zbyt wiele na tego rodzaju periodycznych wędrówkach. Usuwało się natomiast ciągle z pod zasięgu bezpośredniego oddziaływania środowiska wielkiego miasta.

Ucieczka ta staje się znacznie trudniejszą w dobie ekspansji wielkomiejskiej, która dokonywa się w la-

tach powojennej „prosperity“. Co ważniejsze, zaczynają zanikać te nastawienia psychiczne, które skłaniały do ucieczki przed wielkowiejskością na łono partykularza.

Przede wszystkim w miarę ogólnego wzrostu dobrobytu, ludność robotnicza rusza ze „slums“, domów-ruder w okolicy śródmieścia, zalewając lepsze dzielnice mieszkalne. Rdzenni Amerykanie uciekają na coraz dalsze przedmieścia, ścigani jednak nieustannie przez rosnącą falę uciekinierów z gett imigranckich. Przenosiny sąsiedztw stają się tak częste, że zwartość ich już przez to samo ulega poważnemu nadwątleniu.

Trudno jest również utrzymać dotychczasową jednolitość społeczną tych sąsiedztw. Wciskają się wzbogaceni imigranci, którym snobizm każe odgrywać rolę rdzennych Amerykanów, mieszać się możliwie z wyżej społecznie cenionym środowiskiem stuprocentowo amerykańskim. Środowisko to natomiast z właściwą sobie wyłącznością i pogardą dla żywiołów niższych w oczach jego społecznie, stara się odgrodzić od przybyszów. Nie jest to łatwe w kraju, w którym żadne przywileje nie działają automatycznie, a pieniądź rozstrzyga o wszystkim. Najłatwiejszą jest stosunkowo ucieczka z dzielnic, do których zdołali się wdrzeć obcy. Ale potrafią oni dopaść uciekinierów i na nowych pieleszach⁶⁹. Znajdzie się zawsze parę domów w dzielnicy najbardziej nawet arystokratycznej, które można wykupić, choćby słono przepłacając⁷⁰.

Z chwilą, kiedy do sąsiedztwa wdrą się nowe, niepożądane żywioły, których rdzenni Amerykanie uznać nie chcą, rozpoczyna się rozpad sąsiedzkiego środowiska na szereg klik towarzyskich, zamkniętych w sobie, spoglądających na siebie wzajem z pogardą, czy z zawścią, a pozornie ignorujących się zupełnie⁷¹. Instytu-

cje sąsiedzkie tracą szersze wpływy, niektóre podupadają całkowicie. Mieszkanie w domkach jednorodzinnych, stojących wśród nieogrodzonych demokratycznym zwyczajem trawników, w domkach zewsząd oszklonych i otwartych niejako dla wzroku sąsiadów — traci tę emocjonalną rację bytu, jaką posiadało w okresie, kiedy panowała bezpodzielnie przyjazna i bliska atmosfera, obejmująca wszystkich mieszkańców sąsiednich dworaków.

Zaczynają równocześnie działać inne czynniki, które sprawiają, że zamknięte sąsiedztwa domów jednorodzinnych przestają być jedynymi skupieniami ludności rdzennie amerykańskiej w wielkich miastach.

Przyczynia się do tego wspomniany już napływ młodych żywiołów, poszukujących zaczepienia na gruncie miejskim i skupiających się przeważnie w dzielnicach tanich pokoiów umeblowanych.

Wzrasta również płynność ludności (mobility), ciągle przenoszenie się z jednego miasta do drugiego, względnie z jednej odległej dzielnicy miejskiej do innej po to, aby znaleźć się stosunkowo blisko nowego miejsca pracy. Każda taka wędrówka rozluźnia kontakty ze środowiskiem. Jeżeli zmiana miejsca zamieszkania następuje stale niemal co parę miesięcy, niknie wszelkie zainteresowanie dorywczym otoczeniem⁷⁴.

Małe domki jednorodzinne zastępują coraz bardziej kamienice wielomieszkaniowe. Wchodzą tu w grę najrozmaitsze przyczyny, poczynawszy od takich, jak wzrost zainteresowania kapitałów spekulacyjnych tego rodzaju budownictwem, aż do wspomnianej już mimochodem na innym miejscu, utraty zamiłowania do własnego spokojnego kąta wobec rosnącej siły atrakcyjnej rozrywki wielkomiejskiej.

Samochód wywiera tu również wpływ doniosły, za-

równie bezpośrednio przez to, że skłania do spędzania czasu poza domem, jak i pośrednio przez to, że wskutek swojego ogromnego rozpowszechnienia i zatorów ulicznych stąd wynikających, utrudnia dostanie się z odległych przedmieść do miejsca pracy w śródmieściu. A więc z jednej strony czyni poniekąd obojętnym środowisko mieszkalne: szczupły apartament kamieniczny nie wydaje się zbyt ciasny, bo w każdej chwili można znaleźć się na szerszej przestrzeni. Z drugiej zaś strony zamieszkiwanie na dalszych krańcach miasta staje się uciążliwym wobec trudności dotarcia do śródmieścia. Hasło „chodź piechotą do pracy“ (walk to your work) zyskuje zwolenników, którzy chętnie porzucają domki na przedmieściach, żeby wynajmować lokale w hotelach-drapaczach chmur na skraju dzielnicy interesów. Zmniejszenie się wielkości rodzin, przejęcie funkcji wychowawczych w stosunku do dzieci przez szkołę i przedszkola — wpływa również na to, że domek z ogródkiem, jako miejscem zabaw dla dlatwy, traci do-tychczasową rację bytu.

Domek jednorodzinny na przedmieściu ustępuje przeto coraz bardziej apartamentom niewielkich rozmiarów w kamienicy wielomieszkaniowej. W związku z tym dokonywa się prawie całkowity zanik życia sąsiedzkiego. Mieszkańcy kamienicy nie znają się, a często nawet nie chcą się wzajem poznać⁷². Stłoczenie na niewielkiej przestrzeni oraz cienkość ścian sprawia, że sąsiedzi mogą wiedzieć o sobie zbyt wiele krępujących szczegółów, które w dzielnicach domków jednorodzinnych łatwiej jest ukryć (nawet pomimo słabego na pierwszy rzut oka wzajemnego odizolowania). Stąd konieczność utrzymywania dystansu wobec sąsiadów „przez ścianę“. Wziąć jeszcze należy pod uwagę i to, że do kamienic przenoszą się przede wszystkim ci, któ-

rzy z tych, czy z innych przyczyn odnoszą się niechętnie do bardziej ożywionych stosunków sąsiedzkich.

Na tym tle wytwarzają się niekiedy sytuacje wręcz paradoksalne. Powstają mianowicie spółdzielnie mieszkaniowe, budujące wielkie kamienice i utrzymujące wspólne ich władanie po to tylko, by do grona lokatorów nie dopuścić żywiołów niepożądanych⁷³. Otóż zdarza się, że tacy sąsiedzi, zjednoczeni wspólnym celem wyłączości społecznej, nie utrzymują wzajem ze sobą żadnych stosunków towarzyskich. Istnieje pod tym względem coś w rodzaju cichej umowy: każdy żyje we własnym kółku przyjaciół, zamyka oczy i uszy na wszystko, co dzieje się u najbliższych sąsiadów.

Sąsiedztwo traci wskutek tego wszystkie znamiona społeczne, staje się wyłącznie zjawiskiem bliskości przestrzennej. Do dalszego odspołecznienia i urzeczowienia środowiska przyczynia się również postępująca jego komercjalizacja.

Do lat ostatnich zarówno handel hurtowy, jak detaliczny oraz przedsiębiorstwa rozrywkowe skupiały się całkowicie niemal w centralnej dzielnicy handlowej, otoczonej wiankiem miasteczek o charakterze wyłącznie rezydencjonalnym. Gwałtowna ekspansja miasta, rozbudowa odległych przedmieść, zamieszkałych przez ludność zamożniejszą, spowodowały emigrację wielu przedsiębiorstw handlowych i rozrywkowych do ważniejszych punktów na przedmieściach. Rozwijają się satelitarne ośrodki handlowe (satellite loops) w dzielnicach dotychczas wyłącznie mieszkalnych. Wielkie magazyny i kinoteatry stają się coraz silniejszymi magnesami, ściągającymi zwłaszcza niepracującą zarobkowo ludność dzielnicy, a więc kobiety zamężne i młodzież. Odciągają od dotychczas wszechwładnych ośrodków społecznych, klubów, domów parafialnych,

światlic szkolnych. Ośrodki sąsiedzkie urzeczowiają się w ten sposób i komercjalizują. Rozrywka wielkomiejaska staje się głównym zrębem zainteresowań, najbliższym sąsiedztwem również dla tej części ludności, której praca nie wyrywa z otoczenia rezydencjonalnego.

Wraz z zanikiem zwartości ludnościowej, społecznej i kulturalnej dawnych sąsiedztw, z zastąpieniem dzielnic domków jednorodzinnych, z natury rzeczy rozwijających ducha sąsiedzkiego, przez wielkie kamienice, ducha tego zabijające, wraz z tymi procesami dokonywa się wdzieranie więzi rzeczowych do środowiska, dotychczas powiązanego przede wszystkim spoidłami natury społecznej.

Sąsiedztwo jałowiej społecznie, przestaje być skupieniem żywotnych grup, które w ten sposób tracą atmosferę środowiska intensywnego życia zbiorowego, tak ważną zwłaszcza w dobie, kiedy i je dotyka także głęboki kryzys organizacyjny. Rzecz oczywista, że u podłoża rozpadu sąsiedzkiej społeczności tkwią te same przyczyny, które występują na jaw w przesileniu, dotykającym rodzinę, parafię, czy stowarzyszenia. Niemniej jednak akcentują się ze szczególną mocą na skutek bezpośredniej zależności od przeobrażeń środowiska przestrzennego wielkiego miasta. Ze swojej zaś strony procesy rozpadowe sąsiedztwa powiększają rozmiały wiotczenia trwalszych więzi grupowych.

2. Rodzina

Ze wszystkich grup społecznych rodzina odczuwa zazwyczaj najsilniej wszelkie zmiany warunków istnienia oraz towarzyszące im przeobrażenia, zachodzące w psychice jej członków. Jest grupą, która z natury rzeczy łączy najściślej i najtrwalej. W niej też wzajemne

oddziaływanie osób, w jej skład wchodzących, jest szczególnie silne. Rodzi to nieznane w innych grupach natężenie zarówno solidarności, jak antagonizmów.

Oczywiście, zwartość rodziny narażona jest na oddziaływanie destrukcyjne najsilniej wówczas, gdy ulegają zachwianiu jej dotychczasowe zręby gospodarcze. I to nie tylko w tym wypadku, kiedy miejsce bytu jako tako zapewnionego zastępuje niepewność jutra i widmo głodu, jak na przykład w środowisku proletariackim po przeniesieniu się ze wsi do miast⁷⁴, ale i wtedy, kiedy giną dotychczasowe wspólne cele rodziny jako wspólnoty ekonomicznej oraz podstawowej komórki struktury społecznej.

Przede wszystkim samo zawiązywanie małżeństwa traci wiele cech nieodzownej konieczności, jakie posiadało w małomiasteczkowym środowisku. Dla mężczyzny stanowiło wówczas jedyny sposób zorganizowania życia erotycznego oraz wytworzenia sobie domowego środowiska, bez którego nie mógł zająć żadnego wyraźnie określonego stanowiska w społeczności partykularza. Nie bez znaczenia pozostawała również współpraca żony we wspólnym gospodarstwie, czy w interesie handlowym (posagi przeważnie nie wchodziły w rachubę).

Dla kobiety natomiast małżeństwo stanowiło, jeżeli nie jedyną, to w każdym razie najbardziej pożądaną drogę stabilizacji życiowej. Przez małżeństwo zdobywała zapewniony byt materialny, własny dom, gospodarstwo oraz obowiązki rodzinne i towarzyskie, które ją całkowicie pochłaniały.

W wielkich miastach zwiotczenie więzi społecznych sprawia, że stan cywilny nie posiada w życiu towarzyskim większego znaczenia. Równocześnie korzyści materialne małżeństwa słabną wobec rozpowszechnienia

zwyczajów zamieszkiwania w hotelach, jadania w restauracjach, słowem, wobec rosnącej zbyteczności gospodarstwa rodzinnego. Mężczyzna dłużej waha się z zawarciem małżeństwa wobec tego, że znacznie później osiąga zapewnioną sytuację materialną, a zdarza się, że wogóle nie może jej zdobyć.

Kobieta również żyje w odmiennych warunkach, niż dotychczas. Często łatwiej jej, niż mężczyźnie uzyskać nieźle płatne stanowisko. Dziewczęta zarabiają nie raz więcej od młodych ludzi i małżeństwo bywa dla nich połączone z ofiarami w dziedzinie finansowej. W każdym razie coraz częściej wyjście za mąż nie zwalnia ich od ciężarów pracy zarobkowej.

W pożyciu codziennym małżeństwo traci również te czynniki natury organizacyjnej, które utrzymywały dawniej wspólność grupy. Przede wszystkim zanika gospodarstwo domowe oraz „home”. Pomimo braku służby sprawa utrzymania domu i sporządzania posiłków (jeżeli nawet nie jada się poza domem) jest tak dalece uproszczona w nowoczesnych apartamentach o charakterze na pół hotelowym, że nie pochłania wiele czasu, ani wysiłku⁷⁶.

Szablonowo umeblowane mieszkanka, które zresztą ciągle się zmienia, są małe i nieprzytulne. Służą zresztą do spożycia rannego i wieczornego posiłku oraz do przespania nocy⁷⁶. Poza tym członkowie rodziny spędzają cały prawie czas wolny od pracy i od snu poza domem. Każdy szuka własnego środowiska, w którym oddaje się rozrywkom. Mąż ma swoje kluby, żona swoje. Dzieci bywa niewiele: jedno, czy dwoje; coraz częściej zdarzają się małżeństwa bezdzietne. A nawet jeżeli dzieci są, to bardzo wcześnie biorą je pod swoją opiekę przedszkola i szkoły, w których dziecko spędza

większość czasu, wcześniej odzwyczajając się od domowego środowiska.

Żadne więzy kulturalne nie mogą nawiązać się w takiej luźno zespolonej rodzinie. Życie religijne, które dawniej stwarzało pewną więź wspólnych obrzędów w braku innych zainteresowań intelektualnych i estetycznych, zanika całkowicie⁷⁷. Nieliczne tylko rozrywki, jak słuchanie radia, czy wspólne wycieczki samochodem jednoczą na krótki czas rodzinę.

Są to jednak wyjątkowe raczej okazje, w których podniecenie jest stosunkowo niewielkie, rodzi się natomiast nastrój błogości, płynącej ze spokojnego obcowania. W zakątkach duszy Amerykanina tkwi jeszcze mnóstwo takich nawrotów do kojącej monotonii współżycia w gromadce rodzinnej. Niemniej przecie spycha je coraz bardziej szaleńcze tempo zbiorowej rozrywki, potrzeba podniecenia, którego nie może dać jednostajność obcowania w rodzinie.

Już to samo, że jest się na oku innych członków rodziny psuje zazwyczaj zabawę, niszczy poczucie bezkarności i swobody, uniemożliwia pełne wyżycie się. Rozrywka nocna w pijanej i rozwrzeszczanej gromadzie może być przemycona jedynie zdala od kontroli innych członków rodziny.

Wszystkie te czynniki, wynikające z trybu życia, warunków gospodarczych i kulturalnych powodują, że więzy rodzinne tracą na sile, wzmagają się natomiast tendencje rozpadowe.

Rozpowszechnienie rozwodów wiąże się ściśle z rozwojem życia wielkomiejskiego. Obecnie jeszcze, pomimo coraz głębszego przenikania wzorów kultury wielkomiejskiej na wieś, miasta wciąż przodują w zakresie liczby rozwodów⁷⁸.

Oczywiście wzrost tej liczby nie świadczy bynaj-

mniej o proporcjonalnym rozroście liczby małżeństw niezgodnych: wiele takich małżeństw żyło dawniej w nieformalnej separacji, lub nawet pod naciskiem opinii publicznej nie zrywało ze sobą. Ułatwienia rozwodowe przyczyniły się do likwidacji wielu niedobrych stadel.

Niemniej jednak nie da się zaprzeczyć, że statystyki rozwodowe zdradzają zmniejszenie się stabilizacji w łonie grupy małżeńskiej, wzrost nasilenia antagonizmów, zanik powściągów, które sprawiały, że zadrażnienia mniejszej wagi nie doprowadzały do zupełnego rozejścia się. Nie ulega bowiem wątpliwości, że rosnąca łatwość w zakresie uzyskania rozwodu posiada wpływ nielada.

Nie trzeba zresztą zbyt przeceniać roli tego czynnika, który wzmacnia raczej tylko siłę działania splotu momentów rozprężeniowych, wyrastających na tle całokształtu stosunków gospodarczych, kulturalnych i społecznych.

U podłoża każdego prawie rozwodu doszukać się można niesnasek natury finansowej, aczkolwiek motywy wyroków rzadko uwydatniają stronę gospodarczą zatargu. Niewątpliwie spory pieniężne są niejednokrotnie zjawiskiem wtórnym: zaognienia z innego źródła płynące znajdują żywy oddźwięk i w tej płaszczyźnie. Wszelako trudność zrównoważenia budżetu przy nawykach do nadmiernego wydatkowania może po paru latach pożycia małżeńskiego doprowadzić do poważnych nieporozumień. Początkowo, w pierwszym zapale urządzenia sobie wspólnego życia, małżonkowie kupują na prawo i na lewo, przeważnie na kredyt. Wkrótce okazuje się, że różne spląty pochłaniają coraz bardziej zarobki. Mąż stara się zredukować budżet. Powoduje to

tarcia, zwłaszcza w związku z właściwą w środowisku amerykańskim niezdolnością do ograniczania potrzeb.

W tym momencie występują zazwyczaj głębsze przyczyny rozdźwięków małżeńskich, zarówno płynące z nerwowości obojga, zwłaszcza kobiety, jak wynikające z nieopatrznego, spiesznego zawierania małżeństw, często w bardzo wczesnym wieku⁷⁰, pod wpływem młodzieńczego impulsu, w atmosferze erotycznego podniecenia, w którym żyje młodzież. Momenty gospodarcze i społeczne, które dawniej miały wpływ niejako regulujący przy zawieraniu związku, nikną zupełnie, pozostawiając szersze pole przypadkowości doboru, wyłącznie pod wpływem skłonności osobistych, zresztą częstokroć przelotnych.

Wśród młodzieży, równolegle z szerzącą się niechęcią do małżeństwa, panuje jednocześnie uznanie szybkiej decyzji, wywołanej porywem „miłości romantycznej”. Powieść i kino propagują tego rodzaju nastroje. W tej postawie znajduje też wyraz przeświadczenie o wartości szybkiej decyzji, zamiłowanie do ryzyka, tak charakterystyczne dla całego nastawienia życiowego Amerykanina. Snobizm, przejawiający się w naśladowaniu pozy i kaprysu, wszechwładnie panującego w sferach milionerów, upowszechnił tego rodzaju małżeństwa coctailowe. Dodajmy, że alkohol odgrywa niepoślednie znaczenie w powstaniu tego rodzaju związków.

Formalności ślubne są nieczmiernie uproszczone, brak przeważnie terminu wyczekiwania po ogłoszeniu zapowiedzi, tak, że pierwszy impuls kończy się niejednokrotnie natychmiast prawie zawartym małżeństwem.

Oczywiście wybór, dokonany pod wrażeniem chwili, pod wpływem przemijającej często namiętności, rzadko jest odpowiedni. Nie poprzedza go bodaj po-

wierzchowna znajomość usposobień. W następstwie pojawia się również brak wspólnych zainteresowań, pogłębiany przez odmiennosć zajęć: wir spraw codziennych inaczej chwyta mężczyznę i kobietę. W to wplotą się wspomniane już trudności natury finansowej. A wszystko będzie się odbywało w atmosferze pustki społecznej, w której małżonkowie zostaną całkowicie zdani na samych siebie.

W okresie małomiasteczkowym już w czasie konkurów rodzina zabierała głos, chociaż nie tak śmiało, jak w analogicznych środowiskach w Europie. Jeżeli nawet wybór bywał zupełnie niekrępowany przez najbliższe otoczenie i następnie młode małżeństwo korzystało z zupełnej swobody przy organizowaniu sobie życia, to przecież istniała pewna odległa, ale wyraźnie przez młodych wyczuwana kuratela, którą rozłaczali rodzice, starsi członkowie rodziny, kościół, sąsiedzi.

Wspomniałem w innym miejscu o sile, z jaką środowisko partykularza kontrolowało poprawność współżycia małżeńskiego obywateli, stosując różne sankcje przeciwko wykroczeniom w tej dziedzinie, przede wszystkim ostracyzm zarówno towarzyski, jak gospodarczy. Zwłaszcza ludzie młodzi, wchodzący dopiero w życie, musieli liczyć się poważnie z zachowaniem pozorów. Dlatego, pod prężeniem opinii publicznej, wszystkie starcia wewnątrz małżeństwa kryły się wstydliwie przed okiem obcych. Hipokryzja maskowała wszystko, co mogło stać się zgorszeniem publicznym. Byle nie wzbudzić plotki!

Hipokryzja była oczywiście nutą zasadniczą. Kryła tylko, a nie leczyła większych rozdźwięków. Niemniej przeto w tej atmosferze małe niesnaski nie mogły rozrosnąć się w wielkie tragedie. Wyrabiało się opamiętanie, budziło się w małżonkach poczucie, że nie są

sami z rozigranymi nerwami, że trzeba się liczyć z każdym zewnętrznym przejawem nastroju, który opinia publiczna gotowa była zganić.

W wielkim mieście młodzi starają się odseparować od tych wpływów. Stosunki z rodzicami (przeważnie, mieszkającymi zdala, na prowincji) są zupełnie dalekie. Kościoły tracą wszelkie wpływy na życie prywatne swoich członków. Sąsiedztwo staje się luźne, zupełnie przypadkowe. Młode pary koczują z miejsca na miejsce. Zdradzają przy tym wyraźne pragnienie ucieczki od uciążliwej kontroli opinii towarzyskiej. Chcą mieć jak najwięcej swobody w obcowaniu z ludźmi, niezakłócanym obawą, że będzie się za nimi wlokła plotka, podchwytyjąca najintymniejsze ich przeżycia. Pragną swobody w życiu osobistym.

Przesuwając się poprzez wiele luźnych grup społecznych, utraciwszy wszelki kontakt z szerszą rodziną, wyzwoliwszy się z pod kontroli kościoła i opinii sąsiedzkiej, młode małżeństwo jest zawieszone niejako w próżni społecznej. Tym większy będzie kontrast silnych przeżyć we dwoje z przelotnymi, powierzchownymi stycznościami ze środowiskiem. Wszelkie załamania psychiczne tym jaskrawiej się zarysowują na tle próżni otoczenia, które nie daje żadnych odpowiedzi, nie podsuwa żadnych rad na piętrzące się problemy. Oboje małżonkowie są bezradni i ogromnie osamotnieni.

Nie bez znaczenia pozostaje tu niezdolność do nawiązywania bliższych styczności uczuciowych. Życie wyrabia umiejętność przelotnego kontaktowania. Wspominałem już jednak, że rodzi niechęć przeciwko trwałszemu, bliższemu współżyciu. W konfliktach małżeńskich, w obliczu trudności wzajemnego dostosowania się tylko głębsze uczucie może załagodzić antagonizmy, opanować odruchy niechęci. W takich momentach wy-

stępuje w przeciętnym małżeństwie amerykańskim niezdolność do przerzucenia pomostu uczuciowego ponad odruchami egoizmu. Oszłość usposobień, kształtowana przez warunki ekonomiczne, i przelotność więzi zbiorowego współżycia, występuje z całą siłą, przeobraża się w brutalność, doprowadza do starć, nieopanowywanych teraz zupełnie przez wzgląd na opinię otoczenia, wzgląd, który dawniej dochodził w takich momentach do głosu.

W motywach wyroków rozwodowych coraz częściej powtarza się okrucieństwo strony pozwanej (którą stanowią głównie mężczyźni, rzecz zrozumiała)⁸⁰. Wiąże się to nie tylko z tym, że motyw ten jest wygodniejszy i mniej skandaliczny, niż cudzołóstwo, że zresztą silniej działa na sędziów, którzy, jak i szeroka publiczność, stracili nieco z dawnej purytańskiej wrażliwości na zdradę małżeńską, lecz niewątpliwie i z faktem, że strona pokrzywdzona (jest nią najczęściej kobieta) częstokroć szuka istotnie zadośćuczynienia za akty moralnego okrucieństwa, jakim, w jej świadomości, odznaczało się postępowanie współmałżonka. Rozwód jest niejako sposobnością do pełnego odegrania się wobec silniejszego krzywdziciela, zadaniem mu ciosu, a jednocześnie zdobyciem aprobaty ze strony szerokiego ogółu „społeczeństwa“.

Mniejszy rozgłos nabiera rozpad grupy rodzinnej wtedy, kiedy nie dotyczy małżeństwa, lecz więzi łączącej młode pokolenie z rodzicami. Tymczasem rodzina przestaje być grupą wychowawczą.

Podkreślałem duży liberalizm amerykańskich rodziców wobec dzieci jeszcze w dobie wewnętrznej zwarłości rodziny. Nadwątlenie tej spoistości, niesnaski, rozwoły osłabiły w dalszym ciągu wpływ rodziców na dzieci. Jednocześnie szkoła przejmując większość funk-

cyj wychowawczych, starając się zorganizować pod swoim okiem całe niemal życie rozrywkowe młodzieży. A obok tego, zwłaszcza na gruncie wielkich miast, coraz większe znaczenie mają żywiołowe zespoły młodzieży o charakterze samowychowawczym.

Grupy rówieśnicze powstają ze styczności dzieci w szkole i na ulicy, — na tym terenie pierwszych zabaw dziecięcych, — przede wszystkim na skutek braku należytego zrozumienia i odczucia potrzeb i zainteresowań dziecka w rodzinie.

Bandy rówieśnicze najsilniej rozwijają się w środowisku emigranckim, w którym dziecko, zetknąwszy się ze szkołą i z ulicznym amerykańskim otoczeniem, buntuje się przeciwko autorytetowi rodziny patriarchalnej, opartej na wzorach ze starego kraju przyniesionych. Rodzice, tkwiąc jeszcze w europejskich tradycjach ludowych, starają się utrzymać swoją władzę nad dzieckiem. Dziecko natomiast odczuwa ich słabość oraz nieporadność w środowisku amerykańskim, w którym ono samo znacznie swobodniej się obraca. Nie śmie jednak zazwyczaj buntować się otwarcie, więc stroni od rodziny, poszukuje rówieśników, wśród których znajduje pole do wyżycia się, popisu i zaznaczenia swej ważności.

W społeczeństwie rdzennie amerykańskim nie ma takich krańcowych rozdźwięków między rodzicami a dziećmi. Nędza nie wypędza również na ulicę. Za to rodzeństwa jest mało, w domu nudno. Środowisko szkolne przyciąga, powstają kółka koleżeńskie, razem poszukujące rozrywk. Rodzice, wychowani w spokojnym otoczeniu farmerskim i małomiasteczkowym, w atmosferze purytańskiej, nie mogą, pomimo dużej nawet dozy pobłażliwości, zrozumieć nerwowości młodzieży, ani siły jej popędów, ani nowych zainteresowań.

Barwność i bogactwo przeżyć, jakich dostarcza środowisko i rozrywka miejska, podniecenie, wynikające z tłumnego obcowania z rówieśnikami w szkole, zwłaszcza w szkole koedukacyjnej, w której chłopcy wzrastają obok dziewcząt, — wszystko sprawia, że dzieci i dorastająca młodzież wolą przebywać we własnych gromadkach, unikając towarzystwa starszych, szukając zabawy zdala od rodziny.

Kontrola rodziny wiotczeje: dzieci wcześniej stwarzają sobie własny świat, zgola odmienny zarówno od tego, w którym rodzice teraz żyją, jak i od tego, w którym przeważnie wzrastali w młodości. Stąd wzajemne zobojętnienie i brak wspólnych zainteresowań⁸¹. Czują się sobie obcy. Dzieci, zwłaszcza w rodzinach zamożniejszych, wiąże często z rodzicami tylko zależność materialna: rozrywka wymaga pieniędzy, a uczeń szkoły średniej (t. zw. wyższej w Stanach Zjednoczonych) nie posiada jeszcze umiejętności zarobkowania.

Młode pokolenie rozpoczyna wcześniej również ukrywanie przed rodzicami swojego życia osobistego. Współżycie chłopców i dziewcząt na ławie szkolnej oraz ogólna atmosfera podniecenia wytwarza nastroje erotyczne. Samochód znakomicie ułatwia ucieczkę z pod baczного oka starszych. Rodzi się ów bunt młodzieży, którego komentatorem stał się głośny sędzia Ben Linsey⁸². Bunt ten przyspiesza i tak wczesne erotyczne rozbudzenie młodzieży, a jednocześnie prowadzi do szybkiego wyzwolenia się chłopców i dziewcząt z pod duchowych wpływów rodziny. To usamodzielnienie się duchowe i prowadzenie intensywnego życia osobistego w tajemnicy i w nastroju opozycji przeciwko kontroli rodzinnej sprawia, że rodzina amerykańska jako grupa wychowawcza przestaje istnieć już w okresie dojrzewania

plciowego dzieci (które w Ameryce jest stosunkowo wczesne).

Mała rodzina szybko traci tedy w Stanach Zjednoczonych charakter zwartej więzi społecznej przy przejściu na grunt wielkomiejski.

1. Nikną te zręby wspólnoty gospodarczej, które skupiały intensywne, trwalsze przeżycia. „Home“ zmienia się w koczowisko, kruszeje mur, który oddzielał współzycie grupy rodzinnej od środowiska rzeczowego: środowisko to uzyskuje coraz silniejsze władztwo nad czynami i myślami członków rodziny.

2. Inne grupy chwytają również małżonków i dzieci i odciągają od życia w rodzinie. Każdy ma teraz bogate „prywatne“ życie towarzyskie. Jednocześnie dookoła rodziny jako całości zaczyna powstawać zupełna pustka społeczna: wszelkie czynniki kontroli gromadnej tracą swoją moc. Prawo, jako zorganizowana instancja społeczna, ułatwia jeszcze procesy rozpadowe.

3. Zanika znaczenie rodziny, jako grupy wychowawczej: dzieci wychowuje coraz bardziej szkoła oraz samorządne grupy rówieśnicze.

Rodzinę utrzymują pozostałości tradycji. Bardziej zwarte rodziny uciekają na przedmieścia, gdzie panują jeszcze resztki atmosfery małomiasteczkowej. Osiadają w domkach jednorodzinnych. Nie bez powodu własny domek uważa się za widomy objaw zorganizowanego życia rodzinnego.

Nadto korzyści materialne współzycia w rodzinie są jeszcze dosyć znaczne. Dotyczy to zarówno ogromnej większości kobiet, jak i dzieci. Przedłużony okres kształcenia się i rosnąca trudność zdobywania środków utrzymania we wczesnej młodości sprawia, że „bunt młodzieży“ nie bywa otwarty, podkopuje tylko podstawy uczuciowe wspólności rodzinnej.

Wreszcie siła przyzwyczajenia ułatwia powierzchowne współżycie w rodzinie, dopóki nie dojdzie do silniejszych zadrażeń. Pomimo oschłości uczuciowej, małżeństwo jest niewątpliwie dla obu małżonków jedną (zresztą nie jedyną) z form współżycia, łagodzących poczucie samotności.

Wszystkie te momenty utrzymują rodzinę i będą ją utrzymywały jeszcze bardzo długo, aczkolwiek traci ona coraz bardziej swój charakter zwartej grupy społecznej, grupy podstawowej, na której wznosił się do niedawna cały gmach społeczności partykularza. Coraz mniej intensywnego życia społecznego skupia się w rodzinie, coraz więcej występuje momentów ściśle rzeczowych, które łączą jej członków. Bodaj, że jednym z głównych powodów utrzymywania się jej przy życiu, jest to, że tak znakomicie mieści się w schemacie całego ustroju społeczno-gospodarczego współczesnej Ameryki i w zupełności nie przeszkadza rozwojowi sił wytwórczych. Owszem, stanowi jeszcze komórkę gospodarczą, którą na przykład przemysł, obliczony na masowe wytwarzanie na rynek wewnętrzny, zawsze będzie cenił.

3. Kościół

Jakkolwiek, w przeciwieństwie do Europy, urbanizacji nie towarzyszą bynajmniej nastroje niechętne religii, nie mówiąc już o odruchach bojującego ateizmu, jednak w parze z procesem tym idzie wyraźny zanik religijnego światopoglądu oraz głęboko sięgający kryzys organizacyj wyznaniowych. Brak wyraźnych nastrojów, wrogich religii, świadczy przede wszystkim o szerzącym się zobojętnieniu.

Już w małomiasteczkowym partykularzu, w atmosferze rosnącego dobrobytu, powodzenia życiowego

oraz poczucia swojej własnej mocy ponury fatalizm purytanizmu tracił, jak już wspominałem, coraz bardziej władanie nad duszami wyznawców. Siła organizacji, tradycja, względy społeczne utrzymywały wiele form przestarzałych w atmosferze bezruchu kulturalnego, w którym tkwił partykularz. Kaznodzieje jednak straszili coraz mniej piekielnymi ogniami. Z Biblii (która pozostawała wciąż jedyną księgą mądrości życiowej) czerpali raczej natchnienie do rozważań nad pospolitymi zagadnieniami etyki dnia codziennego.

Przejście do środowiska wielkomiejskiego znamionuje przede wszystkim wezbranie fali optymizmu i poczucia własnej mocy. W atmosferze tej słabnie niesłychanie potrzeba poszukiwania moralnego oparcia w religii. Zwłaszcza młodzież, wychowana w szkołach świeckich, słabo odczuwa tę potrzebę. Jednocześnie oparcie całej filozofii życiowej, jeżeli nie wyłącznie na ubóstwieniu dolara, to w każdym razie na wierze w wiedzę, w postęp, w potęgę ludzkiego umysłu usuwają działanie sił wyższych z poglądu na świat wchodzącego w życie pokolenia. Wreszcie, co jest jeszcze może ważniejsze, postawa hedonistyczna, wykształcona przez rozrywkę, niweczy wszelkie ślady stosowania do czynów swoich i otoczenia probierzy zgodności, czy niezgodności z jakimkolwiek kodeksem moralnym. Chodzi o zdobywanie szczęścia, to znaczy zadowolenia, radości, wesela. Obojętnym stało się to, co znajduje się poza sferą bezpośrednich odczuć. I stosunek ten do własnego postępowania rozciąga się daleko poza bezpośredni udział w rozrywce, ogarnia całe życie codzienne.

Barwność i różnorodność przeżyć odbiera również znaczenie nastrojom religijnym, które w małym miasteczku dawały rzeszom wiernych swego rodzaju wytchnienie po monotonii pracy dnia powszedniego w czasie

niedzielnego nabożeństwa. Obecnie rozrywka dostarcza silniejszych przeżyć gromadnych, w porównaniu z którymi śpiew chóralny hymnów wznieca tylko bardzo blade wzruszenia.

Poranek niedzielny otwiera nadto sposobność znacznie pełniejszego wypoczynku. Golf i samochód wyciągają spracowanych i zmęczonych ludzi interesu poza miasto. Szanowani obywatele opuszczają coraz częściej nabożeństwo. Zakorzeniony nawyk „sabat” i sennej ciszy niedzielnej poczyną zanikać, zastępują go inne zupełnie, hałaśliwe nastroje świąteczne.

W grę wchodzi również czynniki, związane z mnożeniem odmiennych form więzi społecznej. Już na partykularzu kościoła stracił bardzo wiele na korzyść łóż i stowarzyszeń. W wielkim mieście wzrasta jeszcze liczba wszelkich organizacyj, a jednocześnie uwydatnia się skłonność do unikania bardziej zwartych grup, uczestniczenia raczej w przelotnych, luźnych zespołach. Duchowni, prowadzący propagandę celem zyskiwania sobie współwyznawców, spotykają się z odmową przystąpienia do gminy wyznaniowej, motywowaną tym, że odmawiający należy już do zbyt wielu stowarzyszeń.

Również płynność ludności rozluźnia wydatnie więzy organizacyjne zborów. Dotyczy to zarówno wędrówki z jednej miejscowości do drugiej, jak i opisanej już migracji sąsiedztw i towarzyszącego jej rozpadu życia sąsiedzkiego. Wyznawcy pozostawiają zazwyczaj za sobą kościół, który często nie może już dostosować się do koczowniczej pogoni za coraz dalej przesuwającymi się ku przedmieściom swoimi członkami. Przy każdej tranzlokacji ubywa mu wyznawców. Występuje wyraźnie trudność dopasowania się małych, na bezpośrednich stycznościach członków opartych, gmin wyznaniowych do nowych warunków płynnego środo-

wiska, w którym kontakty osobiste ustępują coraz bardziej rzeczowym⁸³.

Pomimo tych wszystkich czynników, zmniejszających wpływy religii i osłabiających siłę organizacyjną kościołów, działają jeszcze momenty, które utrzymują sekty religijne przy życiu. Ogólna liczba wyznawców podstawowych sekt i kościołów bynajmniej nie maleje, pomimo braku wyraźnego przymusu moralnego w zakresie przynależności wyznaniowej oraz mnożenia się wypadków otwartej bezwyznaniowości wśród młodego pokolenia imigranckiego. W środowisku rdzennie amerykańskim utrzymuje się nadal zwyczaj popierania organizacji wyznaniowych.

Przede wszystkim, pomimo wpływu, jaki zdobywa wiedza na kształtowanie światopoglądu, pomimo postawy hedonistycznej i stosunku amoralnego do życia, istnienie Boga jest nadal jednym z artykułów wiary najszerszych rzesz ludności amerykańskiej⁸⁴. Bóg jest w oczach tych ludzi, pozbawionych wszelkiej filozofii religijnej, uosobieniem ładu, źródłem energii duchowej, z którego wypływa pomyślność, szczęście i bogactwa tej „ziemi samego Boga“ (God's own country), jak kraj swój lubią nazywać Amerykanie. Poczucie, że są narodem wybranym, przetrwało u nich zwyczaj regularnego czytania Biblii i uznania w całej rozciągłości zasady predestynacji.

Wiara w Boga, pod którego specjalną opieką znajduje się pomyślność kraju, wzmacnia znakomicie samopoczucie wierzących w ten tak mało krępujący dogmat. Ten pogodny deizm, to przyjacielskie obcowanie z Najwyższą Istotą, znakomicie odpowiada zamięłowaniu do przyjmowania prawd i pewników, rodzących siłę, usuwających niepewność, wzmacniających energię du-

chową. Można również przy sposobności bezkarnie nadużywać patosu.

Bóg zwraca jowiszowe oblicze przeciwko niezadowolonym z istniejącego ładu społecznego, jest obrońcą stuprocentowego Amerykanina oraz zdrowego interesu, który pod Jego okiem przeobraża się w służbę (service) dla dobra wszystkich obywateli.

„Respectability“ nie tylko każe uznawać istnienie Boga oraz wierzyć w parę podstawowych dogmatów, a więc boskość Chrystusa, objawienie, nieśmiertelność duszy, ale również wymaga, by dbający o swoje stanowisko w społeczności obywatel należał do jednego z kościołów w sąsiedztwie, chociażby nawet obowiązki jego ograniczały się do płacenia składek i figurowania na liście członków⁸⁵.

Gminy wyznaniowe rozwijają w tej mierze ożywioną działalność. Prześcigają się wzajem pod względem umiejętności zapewnienia swoim zwolennikom możliwie wysokich walorów społecznych. Oczywiście wyznania, posiadające za sobą trwalsze tradycje, związane z kolonialną historią pociągają szczególnie silnie ku sobie. Najlepiej schlebiają próżności tych, którzy w ten sposób chcą podkreślić swoją „rdzenność“ amerykańską. Być kongregacjonalistą, t. j. członkiem sekty purytańskiej, która skolonizowała Massachussetts, to prawie to samo, co wywodzić się od „pielgrzymów“, którzy pierwsi dobili do brzegów ziemi amerykańskiej (aczkolwiek załoga Mayflower nie należała bynajmniej do purytanów).

Z drugiej strony pociągają te kościoły, które rozwijają pompę liturgiczną i bogactwo ceremoniału, jakkolwiek stają się tym samym obce czystemu protestantyzmowi. Z tego na przykład powodu wielkim powodze-

niem cieszy się wśród sfer zamożniejszych kościoł episkopalny, amerykańska filia anglikanizmu⁸⁶.

Naogół wyznania skromniejsze, pozbawione tradycji i ceremoniału, jak baptyzm, tracą zwolenników z pośród lepiej sytuowanych Amerykanów⁸⁷. Natomiast zjednywują sobie wyznawców kościoły wyżej cenione w swoistej hierarchii snobizmu, jako zapewniające wyższy szczebel „respectability“. W ostatecznym wyniku nie zmniejsza się ogólny poziom zorganizowania społeczeństwa w gminy religijne⁸⁸.

Kościoły starają się również zapobiec trudnościom organizacyjnym, wynikającym ze wspomnianej niewspółmierności ustroju małej lokalnej społeczności religijnej z warunkami istnienia w wielkich miastach, w których nieustanna płynność ludności podważa ciągle byt gminy. Nie dokonywa się tu zresztą zupełnie centralizacja, idąca w kierunku stworzenia organizacji wyznaniowych o ustroju hierarchicznym, w których poszczególne gminy lokalne byłyby filią kościoła, jako całości (jak to się dzieje w kościele katolickim). Tradycje demokratyczne są zbyt silne, aby władza duchowna mogła być z góry narzucana. Niewątpliwie zniechęciłyby do siebie wyznawców skoro ci poczuliby jakiś autorytet, rządzący dowolnie ich sumieniami. Muszą oni mieć przynajmniej to złudzenie, cieszyć się tą fikcją, że zbor jest źródłem władzy religijnej, która ich obowiązuje, że nie są poddani żadnemu przymusowi z góry, przeciwko któremu podnosili bunt ich przodkowie, porzucając Europę. Nadto pastory (którzy w gruncie rzeczy mało zależą od zboru, słabo interesującego się codziennymi sprawami kościelnymi) nie poddali by się decyzjom, płynącym z góry ze sfer wyższej hierarchii duchownej: nawykli uważać kościoł za swoje osobiste przedsięwzięcie duchowne.

Niemniej pastorowie i starsze pokolenie wyznawców coraz lepiej rozumieją ujemne skutki rozstrzelenia w dziedzinie kościelnych organizacyj.

Przed wszystkim zaczyna budzić zastrzeżenia zbyt wielka liczba wyznań, działających zupełnie niezależnie w łonie każdej prawie społeczności miejskiej. Podjęto już pewne próby unifikacji sekt, których dogmaty niczym właściwie nie różniły się między sobą⁸⁰. Powstała również dosyć dużym autorytetem ciesząca się federacja kościołów protestanckich (Federation of the Churches of Christ)⁸⁰, uzgadniająca ogólne wytyczne polityki tych kościołów, zwłaszcza w zakresie propagandy i pozyskiwania wiernych. W większych miastach działają międzywyznaniowe instytuty religijne, zainteresowane przede wszystkim tą stroną biznesowo-organizacyjną. W dzielnicach miejskich, w których istnieją trudności, wywołane wzajemnym współzawodnictwem zbyt wielu wyznań, tworzą się wspólnoty działania (committees), ograniczające konkurencję, uniemożliwiające zakładanie nowych kongregacji, dopóki już istniejące nie okrzepną dostatecznie⁸¹. Wreszcie, zwłaszcza na przedmieściach słabiej zaludnionych, coraz szersze zastosowanie znajduje praktyka zakładania kościołów wielowyznaniowych, do których, dzięki uznaniu daleko idących (zresztą nie tak trudnych w rzeczywistości w warunkach protestantyzmu amerykańskiego) kompromisów w zakresie dogmatów i obrzędów, mogą należeć zwolennicy kilku, a nawet kilkunastu różnych wyznań⁸².

Ostatnio kościoły zwróciły również uwagę na młodsze pokolenie, które na ogół słabo bywa brane w rachubę przez sekty protestanckie, przemawiające wyłącznie do osób dorosłych. Pamiętajmy, że młodzi stają się członkami gminy religijnej dopiero po przyjęciu komu-

nii. Przed tą datą przełomową wychowaniem religijnym zajmowała się rodzina.

Jak zaznaczyłem, wpływ wychowawczy rodziny zarówno na tym, jak i na innych odcinkach, zanika, zastępuje ją w funkcjach wychowawczych szkoła, do głębi świecka, wyrabiająca w młodzieży wyłącznie zainteresowanie światem materialnym i drogami zdobycia majątku oraz sportem i rozrywką⁹³. Kościoły zdają sobie dobrze sprawę, że z pośród tak wychowanego młodego pokolenia nie zjedną sobie w przyszłości wielu zwolenników. Nie mogą jednak uzyskać od rządów stanowych nawet tego, by Biblia była uznana za podręcznik szkolny. Muszą przemówić bezpośrednio do rodziców, bądź działając na ich snobizm, bądź też wskazując im, że jedynie wychowanie religijne zdoła powściągnąć rozwójdrzenie młodzieży. Działacze kościelni starają się tedy skłonić do posyłania dzieci do szkół niedzielnych. W szkołach tych czyta się przede wszystkim i komentuje Biblię oraz zaprawia młode pokolenie do nawyku kontaktowania w jakikolwiek sposób z religią. Wyniki, oczywiście, nie mogą być zbyt jaskrawe — zbyt krótkotrwałe jest oddziaływanie szkoły niedzielnej. Są niewspółmierne z rezultatami, osiąganymi przez katolicyzm za pośrednictwem szkół parafialnych, zastępujących szkoły publiczne dla znacznego odłamu dzieci imigranckich.

Bardziej pośredni jest wpływ na młodzież już dojrzewającą poprzez uniwersytety. Pomimo, że zastrzegają się one przeciwko charakterowi ściśle wyznaniowemu⁹⁴, wyższe uczelnie są utrzymywane w znacznym stopniu przez fundacje, których twórcy dbali o utrwalenie wpływów, jeżeli nie wyznania, do którego sami należeli⁹⁵, to w każdym razie ogólniejszego światopoglądu z nim związanego. Dominujące miejsce na cam-

pus'ach uniwersyteckich zajmują monumentalne kaplice, w których niedzielne nabożeństwa ściągają młodzież za pomocą efektownych kazań wybitnych kaznodziei. W danym jednak wypadku chodzi raczej o przekonanie szerszych zastępów młodzieży o słuszności stanowiska religijnego, niż o bezpośrednie ściąganie w szeregi wyznawców. Liberalny prozelityzm amerykański często przejawia się w tej postaci.

Kościół dbają tedy coraz więcej o przynęcenie możliwie licznej rzeszy osób różnego wieku, różnych poglądów i zainteresowań, aby odtworzyć z powrotem dokoła siebie atmosferę ożywienia społecznego i powstrzymać odpływ ku innym instytucjom, dostarczającym większego zasobu rozrywki. Starają się zaimponować wspaniałymi budynkami, naśladującymi (i karykaturującymi) wszelkie możliwe style. Kaznodzieje mówią na wszelkie tematy, poruszają sprawy najaktualniejsze i najodleglejsze od zagadnień religii, byle tylko podniecić ciekawość publiczności. Wreszcie dokonywa się na wielką skalę laicyzacja czynności kościelnych, czyli t. zw. instytucjonalizacja.

Kościół „instytucjonalny“ traktuje właściwe swoje funkcje religijne niejako na marginesie bogato rozwiniętej działalności społeczno-organizacyjnej. Pragnie stać się dla sąsiedztwa ośrodkiem życia społecznego, działać nie tylko w niedzielę, ale przez pełne siedem dni tygodnia (the seven days church). Organizuje zebrania towarzyskie, obiady, kluby dyskusyjne, a wśród młodzieży—drużyny sportowe. Sale bankietowe, lokale klubowe, biblioteki, sale gimnastyczne, pływalnie itp.⁶⁶ mieszczą się w gmachach, sąsiadujących z budynkiem kościelnym i przerastających znacznie jego rozmiary, tak jak działalność świecka przesłania niemal całkowicie przemycaną niejako przy sposobności akcję reli-

gijną. Sami zresztą pastorowie są zbyt zajęci, a często i zbyt pochłonięci psychicznie oraz wdrożeni technicznie do tej pracy organizacyjnej w zakresie rozrywki, by zagadnienia religijne głębiej ich obchodziły⁹⁷.

W kierunku takiej instytucjonalizacji idą kościoły starsze, wrosłe naogół w sąsiedztwo. Natomiast mnożą się zastępy nowych sekt, spekulujących na wytwarzaniu histerycznych nastrojów zbiorowego podniecenia. Nie są one, oczywiście, nowością w Stanach Zjednoczonych, gdzie schroniło się tak wiele sekt tego pokroju z Europy. Ekstazy tłumnych zjazdów religijnych (revivals) doby pionierskiej pozostawiły również trwałe ślady. W kraju tym rozwijał się także od połowy ubiegłego wieku mediumizm i kierunki teozoficzne.

Ostatnie dziesięciolecie przyniosły nową falę nasilenia sekciarstwa, starającego się przywabić zwolenników (a zwłaszcza zwolenniczki) sensacją, tanim mistycyzmem, aranżowaniem stanów zbiorowego podniecenia oraz błogostanu. Rozpowszechnienie sekty wiedzy chrześcijańskiej (Christian Science), a zwłaszcza ogromne powodzenie Aimée Mac Pherson w Los Angeles⁹⁸ świadczą, jak tego rodzaju metody akcji religijnej zdobywają coraz bardziej grunt. Zmęczenie nerwowe, rozwijające się w środowisku miejskim oraz potrzeba oszałamiania się, wykształcona przez rozrywkę, upodatkowująca umysły na działanie pewnych form silnych wzruszeń ekstatycznych, które może dać tylko zbiorowe przeżycie religijne. Zwłaszcza o ile chodzi o kraj, w którym nastroje patriotyczne nie osiągają takiego nasilenia, jak w niektórych państwach Europy.

Mamy więc do czynienia ze swoistym renesansem religijnym, jakkolwiek mało w nim pierwiastków, rokujących rozrost w jakiś głębszy ruch naprawdę odrodzieńczy. Przede wszystkim momenty wzruszeniowe wy-

pierają całkowicie treść ideową i etyczną. Brak bowiem u podstaw tego ruchu elementów społecznych, w które wyposażony jest każdy prąd religijny rzetelnie wartościowy.

Walka o utrzymanie organizacji i nastrojów religijnych rozwija się przeto na wielu odcinkach. W walce tej zaangażowany jest zarówno fanatyzm nielicznych jednostek ze starszego pokolenia, które widzą w upadku religijności groźne memento na przyszłość, jak i rozgałęzione organizacje kościelne, a nawet i interesy wielkiego kapitału (który ze swojej strony obawia się, że bezreligijność może doprowadzić do zachwiania ładu społecznego). Jednocześnie, gdzie tylko się da, żerują najrozmaitsi spekulanci i zręczni sprzedawcy moralnych narkotyków.

Nastroje szerokich mas są trudne do uchwycenia. W starszej generacji nawet wówczas, gdy zrywa ona zupełnie z praktykami religijnymi, istnieje jeszcze żywa reakcja na różne zagadnienia, zwłaszcza natury etycznej. Przez całe pokolenia sekty przyzwyczajały swoich wyznawców do tego, że dostarczały im wszelkich wskazówek, jak należy postępować w trudniejszych sytuacjach życiowych. Kazania pastorów były zbiorami takich właśnie wskazówek. Otóż w chaosie życia społecznego, jednostki, nawykłe do szukania moralnej pomocy, będą garnęły się jeszcze do środowiska, do którego nauczono je zwracać się po oparcie. Chociażby nie dlatego, by czerpać konkretne wskazówki, ale po to, by wzmocnić własne samopoczucie, zniweczyć obawę samotności wobec zawikłań życiowych. W parze ze względami respectability, nakazującej uczestnictwo w organizacji wyznaniowej, wielki niewątpliwie wpływ wywiera poszukiwanie atmosfery religijnej, która mogłaby

utrwaląc poczucie mocy zbiorowej w obliczu najtrudniejszych problemów i zagadek bytu.

Już jednak nawet w starszym pokoleniu, wychowanym na partykularzu, wartkie tętno dnia codziennego, a zwłaszcza odspołecznienie i zmateralizowanie środowiska i nieustanne oszołamianie się rozrywką sprawiają, że całe właściwe życie duchowe popada w swojego rodzaju odrętwienie. Niezbędnym narkotykiem staje się właśnie korowód nieustających, migawkowych wprost wzruszeń powierzchownych, tak, że nawet nie pozostaje miejsca na poszukiwanie jakichś głębszych dreszczów przeżyć zbiorowych.

Cóż dopiero mówić o młodzieży! Wychowana w nerwowej atmosferze wielkiego miasta, zmechanizowanej do najdalszych granic, wyładowywująca swoje tęsknoty społeczne w przelotnych kontaktach, pozbawiona poczucia związku duchowego z otoczeniem ludzkim, a wskutek tego wogóle zrozumienia zagadnień etycznych, młodzież ta nie potrzebuje religii nawet w postaci mało złożonej atmosfery wzruszeniowej. Rozrywka w zupełności wystarcza jej do zapełnienia życia. Jeżeli nastąpi załamanie wewnętrzne, to jednostka uświadamia sobie znakomicie, że jest zupełnie odosobniona i często nie poszukuje już żadnego oparcia moralnego. Albo podlega całkowitemu rozkładowi wewnętrznemu, kończącemu się często natychmiastowym prawie samobójstwem, albo ratują ją bardzo proste środki narkotyku zewnętrznego: wzmożona aktywność fizyczna, wrażenia zmysłowe i rozrywka, wykazanie swojej sprawności na jakimkolwiek polu. Słowem dla przywrócenia równowagi wewnętrznej religia jest właściwie zbędna.

Z tych przyczyn religia traci w Stanach Zjednoczonych swoją dotychczasową doniosłość, jako podstawa

struktury duchowej jednostki. Organizacje mogą się utrzymywać, społeczność może kamienować każdego kto zwątpi w istnienie Boga, ponieważ to podważa wiarę Amerykanów w samych sobie. Ale jednocześnie intensywniejsze uczestnictwo w życiu religijnym przestaje być niezbędnym elementem równowagi wewnętrznej osobowości.

Obumiera niezmiernie dotychczas żywa treść społeczna religii. Pozostaje szata zewnętrzna, jeszcze imponująca i bynajmniej nie zagrożona poważniej przez otwarty ateizm, z którym prawie nie można się spotkać w Stanach Zjednoczonych. Ale wewnątrz szerzy się pustka, której nie zdoła zapełnić nerwowe współubieganie się najlepiej nawet zorganizowanych gmin religijnych ze skomercjalizowaną rozrywką celem odciążenia od niej klienteli.

4. *Życie polityczne*

Zbadanie przekształceń, jakim uległo życie polityczne Stanów Zjednoczonych w ostatnich dziesięcioleciach, wykracza poza ramy niniejszych rozważań. Ograniczę się przeto do zaznaczenia pewnych tylko momentów szczególnie ważnych w kształtowaniu się świadomości społecznej obywatela rdzennie amerykańskiego pochodzenia na bruku wielkiego miasta.

Zwrócę przede wszystkim uwagę na politykę lokalną, samorządową w europejskim rozumieniu, ponieważ posiada ona zawsze najwięcej szans do wzbudzenia miejscowych zainteresowań społecznych.

Rządy klik politycznych, oligarchia nielicznych grup, dzierżących w rękach aparat rządowy znamionowały już środowisko partykularza amerykańskiego. Jak wspomniałem, ludzie interesu pozostawiali na łup po-

lityków sferę korzyści, płynących z rządzenia, byle mogli sami utrzymać swobodę działania w zakresie własnych prywatnych interesów. Drobiazgowa kontrola społeczna nad działalnością aparatu politycznego była po-niekąd sprzeczna z poczuciem „słuszności”: wierzo-no, nie przyznając tego otwarcie, że zręcznej i sprytnej jednostce, na jakimkolwiek stanowisku by się znajdo-wała i z jakiegokolwiek źródła ciągnęłaby korzyści, na-leży się ze strony reszty społeczności pozostawienie cał-kowicie wolnej ręki.

W wielkim mieście weszły w grę czynniki, które ostatecznie oddaliły żywioł rdzennie amerykański od aparatu samorządowego. Sprawily one, że rządy znalaz-ły się w rękach grup polityków, nadużywających wła-dzy zupełnie jawnie dla celów osobistych korzyści⁹⁹. Kontakt, utrzymywany przez polityków z zawodowymi oszustami, ze światem podziemnym, stał się zjawiskiem na porządku dziennym. Wynikają stąd ogromne straty, spadające na ogół obywateli, którzy muszą płacić ha-racz w postaci wygórowanych podatków na rzecz me-nerów miejskich oraz znosić bezczynność policji wobec gangsterów. Nic dziwnego, że fakty te budzą gorące pro-testy. Jednocześnie przecież maleje zainteresowanie wy-borami, coraz silniejsze korzenie zapuszcza postawa biernej krytyki.

W wyjątkowych tylko wypadkach, kiedy straty, wynikające z bezkarności, jaką się cieszą politycy, przy-biorą już zbyt wielkie rozmiary, izby handlowe, repre-zentujące zdrowy punkt widzenia miejscowego biznesu, rozpoczynają akcję, zmierzającą do wprowadzenia fa-chowego kierownictwa sprawami miejskimi (sound bu-siness administration) i wydatnego obciążenia budżetu. Przeważnie jednak obywatel nie znajduje wyjścia z sy-

tuacji, zniechęcony macha ręką na korupcję i wraca do spraw codziennych.

W znacznym stopniu bierna postawa wyrasta z bezsilności, spowodowanej tym, że zamożniejszy żywioł amerykański jest całkowicie zmajoryzowany w wielkich miastach przemysłowych przez ludność imigranckiego pochodzenia, którą zręczni politycy potrafią sobie zjednać (mniejsza z tym czy przekupstwem, czy obietnicami). Ludzie interesu ograniczają się do pilnowania, by ich najbliższe sąsiedztwa były jako tako utrzymane, zaopatrzone w inwestycje oraz nie cierpiały zaledwie z powodu fatalnej polityki miejskiej. Sprzeciwiają się też często włączeniu do większych miast administracyjnie samodzielnych osiedli podmiejskich, w których posiadają wpływy.

Zresztą i zainteresowanie najbliższym sąsiedztwem dosyć szybko zanika wobec ciągłego przenoszenia się z miejsca na miejsce oraz wskutek osiadania w kamienicach.

Wielkie miasto staje się coraz bardziej zestrojem rzeczowym, mechanicznym, w którego gmatwaniu spraw administracyjnych jednostka obraca się równie obco, obojętnie, bezosobowo, jak w środowisku czysto materialnym.

Wielka polityka, t. zn. wybory do ciał ustawodawczych i obiór prezydenta, poruszają silniej opinią publiczną, otacza je jednak naogół próżnia wielkich hasel, retoryki, propagandy, prowadzonej przez partie polityczne¹⁰⁰. I tu daje się zauważyć pewne zniechęcenie, osłabienie zainteresowania¹⁰¹. Przede wszystkim różnych wyborów miejscowych, stanowych i federalnych jest zbyt wiele, trudno po prostu w nich się rozeznąć. Nużą, nie dostarczając już tej rozrywki, co daw-

niej: inne przecież bardziej pociągające sposoby spędzenia czasu coraz mocniej nęcą ku sobie!

Z drugiej strony coraz silniej wraża się w świadomość jednostki poczucie ogromu problemów polityki państwowej oraz przekonanie, że tylko silny rząd może im sprostać. Godzi się ona wewnętrznie na to, że jest rządzoną, że stosunek do zagadnień politycznych musi być niejako bierny. Wyraźnie zaznaczyło się to w dobie kryzysu i reform Roosevelta, których arbitralność zdobyła szeroki poklask.

W ten sposób polityka staje się coraz bardziej sprawą zewnętrzną, znajdującą się niejako poza sferą organizacji społecznej.

Krzewią się, oczywiście, stowarzyszenia patriotyczne, którym pochop do silnej ekspansji dała ostatnia wojna. Wdrożyła ona do zbiorowych manifestacyj uczuć nienawiści przeciwko wszystkiemu, co nie jest amerykańskie. Legion amerykański, stowarzyszenia antykomunistyczne, a zwłaszcza powojenne odrodzenie Ku-Klux-Klanu świadczą o łatwości tworzenia wielkich organizacji, pozwalających na bezkarne wyładowanie dławionych w życiu codziennym odruchów brutalnych i krwiożerczych. Nietrwałość tych organizacji, brak głębszej ideologii świadczy, że podstawy tego patriotyzmu są raczej płytkie, że łatwo jest wywołać poczucie zagrożenia oraz rozpętać drżemiacą brutalność, lecz że nie można wytworzyć trwalszej spójni duchowej w imię jasno uświadomionych szerszych celów.

5. *Życie stowarzyszeniowe. Łoże i kluby*

W życiu stowarzyszeniowym panuje na gruncie wielkiego miasta pozornie jeszcze większe ożywienie, niżeli na partykularzu. W ożywieniu tym jednak uwy-

datniają się objawy przesilenia, równie głęboko sięgającego, jak w zakresie innych form więzi społecznej.

Przedewszystkiem nadmierna liczba stowarzyszeń, do których ze względu na stanowisko społeczne wypada należyć, wpływa na osłabienie stosunków z poszczególnymi organizacjami. Jeżeli jest się członkiem paru łóż i klubów, to brak po prostu czasu na branie żywszego udziału w życiu każdego ze stowarzyszeń. Kontakt ze współczłonkami staje się równocześnie luźniejszy, mniej zależy na bliższym z nimi współżyciu, mniej obchodzi opinia, jaka wytwarza się w ich gronie.

Stowarzyszenia przestają interesować się całokształtem życia swoich członków. Coraz bardziej zaspakajają tylko pewien rodzaj potrzeb — spożycie posiłku w przyjemnym towarzystwie, parę chwil rozmowy w inteligentnym gronie, gra w golfa raz w tygodniu itp. Wprawdzie, jak dawniej, niektóre organizacje starają się nadal związać członków ze sobą możliwie wieloma nićmi: wciągnąć do pełnego życia towarzyskiego, dostarczyć im korzyści nieraz w odległych zupełnie dziedzinach od tych, w których zasadniczo działają. Niemniej jednak wysiłki te rozbijają się o to, że zbyt wiele instytucyj prowadzi działalność tego samego typu, że przeto powstaje nadmierne współubieganie się o względy członków. Z drugiej zaś strony członkowie zanadto mają zarówno zajęty czas, jak i zaprzątniętą uwagę rozrywką i obcowaniem w luźnych zespołach, aby móc darzyć choćby jedną organizację swoim pełnym, wyłącznym zainteresowaniem.

Również i w swojej strukturze wewnętrznej stowarzyszenia tracą pierwotną atrakcyjność społeczną. Coraz bardziej stają się instytucjami, opartymi — nie o żywy zespół ściśle ze sobą współżyjących członków, ale o zrąb formalny, poniekąd niezależny od płynnego,

wciąż zmiennego składu członkowskiego¹⁰². Organizację utrzymuje właściwie pewna grupa oligarchiczna, która rządzi według własnej woli, ciągnąc zazwyczaj ze swojej pracy na tym polu doraźne korzyści. Ostatnie lata wytworzyły prawdziwy proceder zakładania stowarzyszeń wszelkiego typu. Zręczny przedsiębiorca stowarzyszeniowy ma niezły chleb w ręku¹⁰³. Inna sprawa, że rzadko kiedy potrafi wytworzyć organizację, w której będą koncentrowały się bardziej ożywione stosunki społeczne. Przeważnie jest to sprawa raczej drugorzędnej dla niego wagi.

Wreszcie zaczynają zanikać podstawy gospodarcze i psychologiczne, które wiązały członków z organizacjami. Występuje to szczególnie wyraźnie w zakresie łóż i „zakonów” braterskich.

Jak już była o tym mowa, loże i „zakony” te zapuszczały tak głębokie korzenie przede wszystkim dzięki akcji ubezpieczenia wzajemnego. Rozwijały się niezmiernie pomyślnie do czasu, dopóki prywatne towarzystwa ubezpieczeniowe nie zgromadziły dostatecznych kapitałów, tak że zaczęły ubezpieczać na warunkach znacznie dogodniejszych od instytucji społecznych. Kapitalizm prywatny, działając nierównie sprawniej od organizacji na współdziałaniu opartych, niszczy podstawy ściśle gospodarcze stowarzyszeń wzajemnej pomocy¹⁰⁴.

Jednocześnie niknie urok, jaki ceremoniał łóż, ich bankiety i dysputy przedstawiały dla członków. Już samo środowisko wielkomiejskie niweczy siłą atrakcyjną, jaką dla mieszkańca małego miasta posiadała taka uroczystość napół sąsiedzka, dająca mu pełne pole do popisu. Ale najsilniejszy cios popularności obrządków bractw i łóż zadaje rozrywka miejska. Dostarcza ona znacznie większą łatwość oszołomienia się i wyżycia, niż

sztywna pompa niby-to mistycznego ceremoniału, która pobudza coraz częściej do ziewania malejący zresztą zespół członków, uczestniczących jeszcze w dorocznych obchodach¹⁰⁵.

Te tylko organizacje zachowują silniejszy wpływ na członków, które skupiają jednostki zajmujące wybitne stanowisko w społeczności, elitę. Łoże masońskie są wskutek tego znacznie bardziej poważane od plejady pomniejszych bractw. Utrzymuje je wyłączność oraz charakter silnych klik gospodarczych, które z nich się wytworzyły i pozwalają im panować nad pewnymi sferami życia.

Miejsce łóż i bractw zajmują coraz bardziej nierównie luźniejsze pod względem społecznym kluby.

Pierwszy typ klubów, najbardziej zbliżony do łóż, to kluby „śniadaniowe“ (luncheon clubs). Mają one na celu dostarczyć swoim członkom sposobności do bankietowania w przyjemnej atmosferze. Udział wybitniejszych gości, wygłaszających okolicznościowe przemówienia, podnosi zazwyczaj wartość tego rodzaju zebrań towarzyskich.

Kluby takie, stanowiące filie paru wielkich organizacji ogólnoamerykańskich (a nawet ogólnoswiatowych), umożliwiają przede wszystkim ludziom interesu, znajdującym się w obcym mieście, natychmiastowe nawiązanie kontaktu z grupą elity biznesu. Spełniają więc w warunkach życia bardziej płynnych, w atmosferze kontaktów bardziej przelotnych, tę samą rolę, co ongi sekty religijne i loże, pozwalając członkom znaleźć przyjaciół na nowym miejscu¹⁰⁶.

Teraz członek klubu „Rotary“ czy „Kiwanis“ wie, że raz, czy dwa w tygodniu może spotkać w każdym mieście, w którym się zatrzyma, wszystkich wybitniejszych businessmanów przy lunch'u, rozgadać się z nimi,

bodaj nawet ubić od razu interes. Oczywiście, tego rodzaju organizacja nie posiada żadnej zwartości kontaktów społecznych: oddaje znakomicie przelotność styczności w wielkomiejskim środowisku.

Bardziej zwarte są kluby, powstające dla przeprowadzenia jakiejś wspólnej działalności na rzecz swoich członków. Wśród nich coraz pocześniejsze miejsce zajmują kluby rozrywkowe, które posiadają urządzenia sportowe i administrują nimi w interesie członków. Zwłaszcza kluby golfowe (golf and county clubs) cieszą się dużym powodzeniem, skupiając dokoła ożywione nieraz życie towarzyskie, oczywiście jednak tylko na tle okazji, związanych z oddawaniem się rozrywce¹⁰⁷.

Największe znaczenie posiadają kluby różnych nazw, czerpiące wzory z klubów angielskich. Członkowie spędzają w nich sporo czasu. Tu jadają, tu odpoczywają, przyjmują gości, przebywają w chwilach wolnych od pracy. Wobec szczupłości mieszkania, w klubach zarówno męskich, jak kobiecych skupia się coraz więcej życia osobistego członków. Przez sam fakt jednak, że koncentruje się tam zbyt wiele stosunków prywatnych w miejscu niemal publicznym, nie może wytworzyć się atmosfera ściślejszego współżycia. Nawet amerykańska umiejętność życia na widoku publicznym ma swoje granice i poza częstym spotykaniem się przy stole z grupką bliższych znajomych klub nie wytwarza bardziej zwartego środowiska społecznego¹⁰⁸. Niewątpliwie działa tu poniekąd ta sama niechęć do stwarzania sobie zbyt uciążliwego zespołu sąsiadów, która występuje w rezerwie towarzyskiej, panującej wśród współlokatorów kamienic.

W każdym jednak razie, życie klubowe stanowi jedną z nielicznych placówek, na których rozwija się jeszcze częstsze i bardziej urozmaicone obcowanie.

Dzieje się to zresztą głównie na skutek zanikania życia rodzinnego.

Naogół stowarzyszenia, dzięki swojemu bardziej zdawkowemu stosunkowi do jednostki, mniej straciły na sile wewnętrznej od rodziny oraz od instytucji religijnych. Podały się z większą plastycznością przelotnemu charakterowi kontaktów między członkami. Z ciał, w których kształtowała się opinia zbiorowości, przeistoczyły się przede wszystkim w organizacje, w których członkowie mogą znaleźć dorywcze zaspokojenie głodu towarzyskiego oraz zapoznać się z osobami, których znajomość jest im potrzebna w ich działalności zawodowej.

ZAKOŃCZENIE

Procesy jałowienia społecznego

Właściwością kultury partykularza amerykańskiego było skojarzenie żywotnych elementów więzi społecznej z wymogami gospodarki indywidualistycznej. Jak wspomniałem, nigdzie na świecie pierwiastki kultury ludowej nie zdołały tak dobrze dostosować się do kapitalizmu. Było to możliwe tylko dzięki temu, że kapitalizm ten do ostatnich czasów nie był, przynajmniej w stosunku do ogromnej większości żywiołów rdzennie amerykańskich, kapitalizmem wielkomiejskim.

Dopiero przejście na grunt wielkich miast zmieniło radykalnie sytuację. Procesy przeobrażeń przyspieszyło niesłychanie wzmoczenie ekspansji produkcji masowej i przenikanie maszyny do wszystkich zakątków codziennego życia na skutek ewolucji wytwórczości w kierunku produkowania dóbr i usług coraz wyższego rzędu, coraz bardziej zróżniczkowanych, przeznaczonych na szeroki użytek i związanych ze wszystkimi dziedzinami życia. Zwłaszcza mechanizacja, komercjalizacja i masowe wytwarzanie rozrywki wplata jednostkę w sposób niejako definitywny w świat kontaktów rzeczowych, usuwając na plan dalszy stosunki osobiste, które dotychczas kojarzyły się nierozzerwalnie z rozrywką.

Styczności z żywymi ludźmi, kultywowane celem

uzyskania pewnej wewnętrznej harmonii, wzmożenia pewności siebie, stają się znacznie mniej potrzebne. Nawyk oszałamiania się znakomicie zastępuje poszukiwanie równowagi duchowej, która wytwarzała się w bliższym obcowaniu gromadnym. Gromada (i to nie w postaci zorganizowanej, a raczej przygodnego, obcego zupełnie tłumu) spełnia jedynie rolę czynnika, umożliwiającego powstanie narkozy rozrywkowej albo wyolbrzymiającego jej działanie.

Również poczucie pewności nie wymaga zetknięć osobistych: daje się osiągnąć bądź w drodze świadomego panowania nad martwymi przedmiotami (kierowanie samochodem, między innymi, znakomicie podnosi samopoczucie)¹⁰⁹, bądź w drodze przelotnych zupełnie kontaktów ze środowiskiem.

Kontakt przelotny, wykształcony przez całą technikę życia wielkomiejskiego, ma nawet tę zaletę, że daje sposobność do olśnienia osób, z którymi wchodzi się w styczność, natomiast usuwa niebezpieczeństwo zdemaszkowania pozorów przy dalszym rozwoju znajomości. Jest więc rzeczą zrozumiałą, że jednostki próżne będą wolały zaćmiewać na krótką choćby chwilę środowisko, przez które się przesuwają, niżeli schodzić z piedestału w otoczeniu bardziej ustabilizowanym. Przelotność kontaktów rodzi tego rodzaju popis „migawkowy“, który, gdy raz stanie się przyzwyczajeniem, stwarza nastrój niechęci do trwalszego współżycia w jakiejkolwiek grupie, bo długotrwałe utrzymywanie się na szczudłach moralnych kosztuje zbyt wiele wysiłku.

Jednocześnie wyrabia się niechęć do trwalszych organizacyj, przekazanych przez tradycję. Wynika ona z chaosu, który rodzi się w duszy jednostek na tle zetknięcia norm dawnych z dążeniami, odpowiadającymi nowemu układowi stosunków. Z jednej strony istnieje

wpojone jeszcze mocno poczucie „obowiązku grupowego“, solidarności, a w każdym razie obowiązku kontaktowania, z drugiej zaś wzbiera bunt przeciwko „zachłanności“ innych członków grupy. Przeciętą jednostka natomiast nie odczuwa już żadnej potrzeby, ani korzyści z utrzymywania ściślejszego z nimi związku. Ciężary materialne, płynące z przynależności grupowej, wzmagają jeszcze antagonizm: wiadomo, że nic bardziej nie rozprzęga ostatecznie rodziny, znajdującej się w stadium rozpadu, jak konieczność wspomagania uboższych członków.

Ale i wówczas, kiedy w grę wchodzi kontakty bezinteresowne, grupa, ze swoją opinią, gotową skarcić postępowanie członków, którzy wyłamują się z pod jej władztwa, stworzyć dokoła nich nastrój dezaprobaty, jest ciężarem. Zwłaszcza będzie ciążyła tym, którzy chcą stworzyć dokoła siebie przyjemną atmosferę społeczną, nastrój poklasku (choćby poklask ten miał być przełotny i ciągle był dawany przez inne, obce ręce).

Zarówno więc pogoń za pozytywnym ustosunkowaniem się otoczenia, jak ucieczka przed nastrojami negatywnymi powoduje osłabienie więzi, łączącej jednostkę ze społecznością i najważniejszymi grupami, które jądro jej stanowią. Oczywiście, czynniki pozaspołeczne, a więc wzrost znaczenia kontaktów rzeczowych, a zwłaszcza płynność i tempo życia mają wpływ decydujący. Formy tradycyjne niewątpliwie przeżywają głęboki kryzys. Przesilenia takie są normalnym wynikiem przemian dziejowych. Jedne formy upadają, inne narastają na ich miejsce: całkowita stabilizacja społeczna jest nie do pomyślenia. Niebezpieczne są jednak momenty bardzo szybkiego rozpadu istniejących więzi, zwłaszcza jeżeli towarzyszy im niezdolność do wytworzenia nowych na ich miejsce. Zjawisko to zdaje się

właśnie występować w środowisku wielkomiejskim. Wówczas wpływy destrukcyjne sumują się niejako. Jednostka traci dawne zdolności społeczno-organizacyjne, nie nabiera nowych w tej dziedzinie. Słowem „jałowiej” społecznie.

Zrozumiałą jest rzeczą, że nie mamy tu do czynienia z żadnym raptownym przeskokiem. Przede wszystkim w osobowości Amerykanina, tak świeżo przeniesionego z partykularza na bruk wielkomiejski, tkwi jeszcze mnóstwo pierwiastków, które wartki potok życia miejscami tylko całkowicie zmywa, częstokroć pozostawia zakątki jeszcze nienaruszone¹¹⁰. Ta „erozja” duchowa nie jest przeto równomierna, mnóstwo w niej tkwi momentów nieoczekiwanych. Często wyraźnie występuje przyczyna przetrwania tego rodzaju tradycyjnej wysepki, czasami jednak trudno wytłumaczyć sobie jej istnienie. Taka pozostałość minionej epoki łagodzi wielokrotnie standardowość i monotonność duszy amerykańskiej. Sprawia również, że nieoczekiwanie pojawiają się reakcje, tchnące zapomnianą już napoły przeszłością.

Oczywiście, dotyczy to wszystko głównie starszego pokolenia. Młode, wzrosłe już w gorączkowym środowisku kultury wielkomiejskiej (której tchnienie zresztą przenika obecnie dzięki szkole, samochodowi i kinoteatrom do zapadłych do niedawna partykularzy), nie ma tych nawrotów, jest znacznie bardziej ujednolicone w swojej nerwowości, amoralności, niezdolności do trwałych kontaktów zbiorowych.

Dawne formy nie zanikają całkowicie w miarę jałowienia społecznego środowiska i ludzi. Stanowią nadal składową część struktury społecznej, w ramach której mieści się cały ustrój gospodarczy Ameryki doby wielkiego kapitalizmu „spożywczego”. Indywidualizm eko-

nomiczny utrzymuje rodzinę, wolne stowarzyszenia, demokrację polityczną. Treść społeczna została jakby wypompowana z tych organizacyj, lecz pozostały, jak to zwracałem już uwagę, zewnętrzne powłoki, które znakomicie dostosowały się do całego zrębu życiowego przeciętnego obywatela. Rzadko tylko występują w nich żywsze iskierki dawnej intensywnej treści społecznej, co mąci nieco mechaniczne tętno ich działania.

Słowem, wielki kapitalizm nie zmienia bynajmniej zasadniczej struktury więzi społecznej, wyjaławia ją tylko, odbiera treść, a pozostawia formę. Forma ta standaryzuje się, martwieje i kosztuje niejako, jakkolwiek pozornie nabiera czasami mocy i trwałości.

Jeżeli przez rozprężenie społeczne rozumieć odbicie procesów dezorganizacji wewnętrznej osobnika, zanik więzi zbiorowych nie osiąga w wielu razach formy tak drastycznej. Nawet tam, gdzie konflikty są najsilniejsze, bo nie można wyeliminować niebezpiecznej bezpośredniości kontaktów i zastąpić jej całkowicie zstandaryzowaną przelotnością stosunków (jak np. w małżeństwie), rozpad przybiera postać coraz bardziej zmechanizowanej, przyspieszonej procedury. Rzeczy można, że w tej atmosferze rosnącego jałowienia pierwiastków moralnych nawet otwarte rany nie jętrzą się długo, tak otoczenie jest wysterylizowane z elementów uczuciowych.

Uwidacznia się natomiast zanik odporności na wszelkie zakusy przeciwko łaadowi społecznemu, które dawniej budziły silną reakcję ze strony zwartych grup, zdolnych przeciwdziałać doraźnie żywiołom niepożądanym, w pierwszym rzędzie przestępczym.

Jest rzeczą zrozumiałą, że sytuacja nie jest obecnie tak prosta, jak w osiedlach dzikiego Zachodu, kiedy przy wspólnym wysiłku można było łatwo wytepić prze-

stępców, linczując ich bez litości. Dżungla wielkomiejska daje znacznie pewniejsze schronienie współczesnym gangsterom, środowisko wielkokapitalistyczne umożliwia istnienie przestępczości zorganizowanej w potężne syndykaty. Walka z tego rodzaju przestępczością wymaga wysiłków sprężystego aparatu policyjnego, którego właśnie w Stanach Zjednoczonych dotkliwie brak. Nieudolność policji, a nawet niedwuznaczna jej współpraca z bandytami zapewnia bezkarność żywiołom zbrodniczym¹¹¹.

Uwidacznia się jednak również zupełna dezorientacja i bezwład społeczeństwa amerykańskiego, które nie potrafi zdobyć się na wspólną, konsekwentną akcję, a nawet na bierną solidarność. Wiąże się to niewątpliwie i z niezdolnością do wszelkich wysiłków organizacyjnych, przekraczających rozmiary działalności na niewielkim stosunkowo terenie. Niemniej jednak znajduje tu przede wszystkim wyraz słabość zbiorowych reakcyj, wynikająca z daleko posuniętego zwiotczenia tak silnego dotychczas poczucia solidarności obronnej gromady przeciw zakusom mierzącym w ład życia zbiorowego.

Prohibicja pokazała, jak zamożne odłamy społeczeństwa, przeważnie rdzennie amerykańskiego pochodzenia, potrafiły łamać przepisy prawa, świadomie korzystając z usług świata podziemnego, który dostarczał upragnionego alkoholu. Pojawiały się liczne protesty przeciwko takiej bierności, zwłaszcza ze strony osób starszych, wiernych etyce purytańskiej. Do żadnych jednak akcji zbiorowych właściwie nigdy nie doszło. Prohibicja wydobyła przeto na jaw bezsilność tradycyjnych postaw w zakresie opinii publicznej

Ostatnia kampania przeciw gangsterom porywaczom (kidnappers) wykazała jeszcze dobitniej zupełną bezradność, nie tylko władz centralnych, ale i wszelkich

organizacji społecznych. Sankcje gromadne istnieją jeszcze tylko w stanach południowych w tamtejszych małych miasteczkach, gdzie „lincz“ zachował moc odruchu zbiorowego. Utraciwszy swą żywotność wskutek zaniku pierwiastków rzetelnego uspołecznienia w duszach osobników, społeczność amerykańska jest niezdolna do jakiegokolwiek zwartej akcji obronnej. Utrzymuje się natomiast w swojej zewnętrznej strukturze, gdyż dostarcza potrzebną zarówno pod kątem widzenia gospodarczym, jak i psychologicznym łatwość nawiązywania kontaktów, jakkolwiek coraz bardziej i bardziej powierzchownych. Utrzymuje w świadomości jednostki poczucie ładu, które jest jej niezbędne, chociażby dla zagłuszenia obaw i niepewności, jakie rodzi życie społeczne. Tkwi w tym bardzo wiele momentów zakłamania, oszukiwania samych siebie.

Rzecz znamienna, że z trudem wytwarzają się szersze solidarności, jak narodowa, klasowa itp. Amerykanin odczuwa różnicę, jaka zachodzi między nim a innymi członkami białej rasy, ale nie budzi ona w nim szerszej ideologii narodowej, tylko poczucie wyższości własnego „gatunku“ (którą gotów zadokumentować choćby w postaci zbrodni, popełnianych przez Ku-Klux-Klan). Patriotyzm jest odruchem obrony tej „wartości gatunkowej“ przeciwko zakusom obcych, gwałtowną reakcją ksenofobii, której fala równie szybko wzbiera, jak opada.

Nie zdołała się przeto wytworzyć złożona konstrukcja uczuć narodowych, znamionująca społeczeństwa europejskie. Wchodzą tu w grę nie tylko momenty historyczne, nie tylko ekonomiczna wyłącznie podstawa państwowości — znajduje tu swój wyraz także niezdolność opierania jakichkolwiek trwalszych elementów świadomości zbiorowej na abstrakcji, na ideach i sym-

bolach oderwanych od żywej treści zbiorowej. Zasadniczy zrąb myślowy Amerykanina pozostał nadal wieśniaczy, ciasno „wioskowy”, nieprzygotowany do zadowalania się abstrakcjami kontaktów społecznych.

Wskutek tego wszystkie próby rekonstrukcji społecznej idą właściwie w kierunku odbudowy środowiska bezpośrednich kontaktów, bądź w postaci pełnej społeczności wioskowej (*village community*), bądź też ułamkowych form jej właściwych. Nuta sąsiedzkości odzywa się we wszystkich takich posunięciach¹¹².

Oto, na przykład, walka ze środowiskiem wielkomiejskim przybiera postać kampanii przeciwko kamienicom w imię powrotu do domów jednorodzinnych oraz przeciwko płynności i bezimienności sąsiedztwa w imię odbudowy trwałych i zorganizowanych niewielkich jednostek sąsiedzkich (*neighborhood units*)¹¹³. W żadnym bodaj kraju urbanistyka nie jest tak przepojona ideałami sąsiedzkości, jak w Stanach Zjednoczonych.

Wszystkie organizacje społeczne i kulturalne działające amerykańscy starają się również doprowadzić do środowiska najbliższego sąsiedztwa. Oczywiście, są to instytucje z natury rzeczy sąsiedzkie. A więc przede wszystkim kościoły, najściślej związane z miejscowymi społecznościami wiernych. „Instytucjonalizacja” kościołów ma na celu ułatwić wrastanie ich w sąsiedztwo. Szkoła również rozwija swoją działalność w zamkniętym sąsiedztwie, w którym bez trudu staje się centralną instytucją¹¹⁴.

Inne objawy celowej akcji społecznej noszą podobne piętno sąsiedzkie. Charakterystycznym dla akcji filantropijnej amerykańskiej jest to, że przeobraża się ona w działalność w kierunku nie tyle doraźnej pomocy potrzebującym bliźnim, ile wychowania ich na dobrych obywateli-sąsiadów. Angielskie osiedla społeczne (se-

tlements) wyrosły z poczucia obowiązku warstw wyższych wobec nędzy proletariackiej (niejako feodałów wobec wasalów i poddanych). Staraly się ulżyć ubóstwu przez zorganizowaną pomoc, przerzucając pomost ponad uprzedzeniami społecznymi i dystansami, dzielącymi ludność zamożną i nędzarzy. W Ameryce natomiast czysta filantropia przeistacza się w krótkim czasie, pod wpływem ideałów nierównie bardziej demokratycznych, w wychowanie sąsiedzkie, którym kierują settlements¹¹⁵.

W dobie wojny europejskiej akcja sąsiedzka znalazła wyraz w tworzeniu organizacyj dzielnicowych, w ramach których mieli się stykać w atmosferze demokratycznej równości przedstawiciele warstw najzamożniejszych i proletariat imigrancki. Styczności miały rozwijać się w płaszczyźnie zainteresowań życiem miejscowym. Koncepcja ta nie do pomyślenia w europejskim środowisku miejskim, zbliżona była raczej do prób współpracy dworu i wsi w niedawnej naszej przeszłości — i uwieńczona zresztą podobnym niepowodzeniem¹¹⁶.

Jeszcze silniej moment sąsiedzkości występuje w ośrodkach społecznych (social centers, zwanych następnie community centers), w których cała działalność oświatowa zostaje skupiona w zamkniętym sąsiedztwie, przy szkole czy bibliotece miejscowej¹¹⁷.

Mamy więc do czynienia bądź ze specjalnym prozelityzmem sąsiedzkim na usługach asymilacji żywiołów obcego pochodzenia, czyli amerykanizacji, bądź z ogólniejszymi próbami nawiązania wiotczącego współżycia sąsiedzkiego za pośrednictwem rosnącej w znaczenie akcji oświatowej. Równocześnie rozwijają się naukowe metody badania środowisk wielkomiej-

skich, służące przede wszystkim do zinwentaryzowania potrzeb życia społeczności miejscowych¹¹⁹.

Wreszcie każda instytucja, gromadząca choćby dorowczo swoich członków, czy klientów, stara się o wytworzenie atmosfery współżycia i sąsiedzkiej współpracy. Czynią to przede wszystkim szkoły, przedsięwzięcia Y. M. C. A., oraz różne domy i hotele, przeznaczone dla młodzieży. Widać wyraźny, chociaż nawpół tylko uświadamiany sobie wysilek utrzymania młodego pokolenia w atmosferze sąsiedzkości, którą Amerykanie utożsamiają niemal z uspołecznieniem.

Daje się wyczuć niezdolność do abstrakcyjnego ujęcia obowiązku społecznego, do uświadczenia sobie szerszej solidarności, o ile uprzednio nie zostanie wcielona w więź bezpośrednich kontaktów. Swoją „sąsiedzkość” Amerykanie starają się zresztą narzucić całemu światu i w prozelityzmie tym są niejednokrotnie zaskoczeni niezdolnością Europejczyków do zrozumienia istoty demokratycznej community¹²⁰.

Jak zawsze bywa, skoro tylko zaczną zanikać treści organizacyj tradycyjnych, następuje powszechny zwrot opinii publicznej ku dawnym formom celem ich utrzymania. Niewątpliwie rekonstrukcja tych form nie pozostaje bez wpływu na powstrzymanie procesów rozpadowych, chociaż sfera oddziaływań na tle takiej akcji konserwatywnej może być ograniczona i nie przenikać zbyt głęboko do treści przemian psychicznych. Słowem, udaje się na pewnych odcinkach powstrzymać widoczne objawy procesu rozpadu więzi społecznych, ale czy są widoki na to, aby usunąć właściwe jego podłoże — to jeszcze sprawa, wymagająca oświecenia.

Podłożem wszystkich przemian jest cały ustrój współczesny, wyrosły na tle wielkiego industrializmu, który przepaja pierwiastkami rzeczowymi całokształt

życia jednostki i jej stosunków z otoczeniem. Jednocześnie z zastępowania stosunków osobistych, mających na celu ustalenie harmonii wzruszeniowej, kontaktami w imię interesów materialnych, w których stan uczuciowy otoczenia jest w zasadzie obojętny (chodzi tylko o zewnętrzne reakcje), dokonywa się niezmiernie doniosłe odosobnienie jednostki w sensie niemal fizycznym. System psycho-nerwowy zostaje wprawiony w stan chronicznego niemal zmęczenia, przy którym wszelkie naginanie się do styczności społecznych pod przymusem moralnym środowiska bywa nie do zniesienia. Osamotnienie jednostki wyrasta z dwóch ściśle funkcjonalnie ze sobą sprzężonych źródeł: jałownienia życia codziennego z pierwiastków społecznie twórczych i rosnącej niezdolności osobników do nawiązywania żywych uczuciowo więzi.

Działalność celowa, zmierzająca w kierunku utrzymania sytuacji, w których mogą rozsnuwać się nici bezpośrednich kontaktów społecznych, zmniejsza uporczywość działania czynników zewnętrznych, które prowadzą do zupełnego urzeczowienia środowiska ludzkiego. Sztucznie stwarzane niby-sąsiedztwa dają sposobność do wyżycia się w atmosferze zbiorowej, przynoszą odprężenie nerwowe, zmniejszają napięcie procesów jałownienia.

Niemniej przeto całokształt stosunków życiowych nie ulega zmianie, zarówno w płaszczyźnie materialnej, jak kulturalnej. Warunki walki o byt i pracy pozostają te same. Ujemne właściwości rozrywki, zwłaszcza w jej skomercjalizowanej postaci, nie znikają bynajmniej. Płytkość przeżyć kulturalnych i brak elementów konstruktywnych są równie wielkie. Cały więc zrąb życia pozostaje ten sam. Sąsiedzkość łagodzi tylko bardziej dokuczliwe tęsknoty społeczne. Pozwala

chwilowo zapomnieć o pustce, jaką życie nieubłagane stwarza dokoła człowieka i jaką w nim rodzi.

Jest paliatywem, który może przynieść większe wyniki wówczas tylko, gdy życie samo przyjdzie mu z pomocą. A więc stabilizacja stosunków, ułatwienie walki o byt, zwrócenie wysiłków prywatnych producentów dóbr kulturalnych, oraz ciał publicznych w kierunku dostarczania rozrywek o charakterze społecznie konstruktywnym¹²⁰, — wszystko to może nieoczekiwanie wzmocnić akcję uspołecznienia poprzez sąsiedzką.

Najdonioślejszy wpływ mogłaby niewątpliwie wywrzeć zmiana ideałów i kierunków wychowania. Szkoła musiałaby przestać kształcić w kierunku wyrabiania nastrojów pogoni za pieniądzem, rekordem, popisem, oraz posługiwania się „uspołecznieniem“ wyłącznie w imię interesu osobistego. Lecz zmiana nastawień wychowawczych, zwłaszcza w społeczeństwie demokratycznym i opartym na zasadach wyłącznie ekonomicznych jest nie do pomyślenia bez głębszych przemian w strukturze całego życia gospodarczego.

Mamy tu stale do czynienia z tym na wstępie omówionym determinizmem ślepych sił gospodarczych, które pozostawiają tylko wąskie pole akcji celowej. Nie tyle na skutek swojego bezpośredniego działania ściśle materialnego, ile przede wszystkim dlatego, że tak silnie chwytają jednostkę ludzką w swoje szpony i tak mocno przekształcają ją wewnątrz.

PRZYPISY

¹ Response w ujęciu W. Thomasa i F. Znanieckiego: *The Polish Peasant in Europe and America*, II wyd., 1927, I, 73, II, 2228. Także uwagi F. Znanieckiego o harmonii uczuciowej w jego *Socjologii wychowania*, Warszawa, 1928, I, 95—96.

² L. Krzywicki: *Rozwój stosunków gospodarczych*, *Poradnik dla Samouków*, cz. V, zes. I, 470 i nast.

³ Porówn. mój artykuł: *Socjologia miasta*. *Przegląd Socjologiczny* z 3—4/1935, 568—569.

⁴ Fala ta bowiem przypada na okres wzmożonej mechanizacji środowiska wielkomiejskiego i całkowitego już niemal urzeczowienia wielu stron życia zbiorowego.

⁵ W. Thomas i F. Znaniecki, j. w. R. Park i H. Miller: *Old World Traits Transplanted*, New York 1925. J. Chałasiński: *Parafia i szkoła parafialna wśród emigracji polskiej w Ameryce*. *Przegląd Socjologiczny* z 3—4/1935.

⁶ Porówn. moje *Uwagi w Badaniach środowiska społecznego*, Warszawa 1932, 21—31.

⁷ To ujęcie determinizmu gospodarczego z uwydatnieniem roli więzi rzeczowych, oraz położenie głównego nacisku na przemiany „katastrofalne” rozwinął prof. L. Krzywicki (porówn. zwłaszcza jego *Studia Socjologiczne*, Warszawa, 1923). Odmienne od niego traktuje właściwości organizacyjne więzi rzeczowej (o dezorganizującym wpływie więzi rzeczowej porówn. mój artykuł: *Wielkie miasto jako środowisko rozprężenia społecznego*, *Droga* 1/1933, 75—76).

⁸ E. Abramowski: *Pierwiastki indywidualne w socjologii*, *Pisma*, II, 170.

⁹ Systematycznego zestawienia literatury nie podaję. Bogatą bibliografię z zakresu zagadnień przeze mnie poruszanych czytelnik znajdzie w dziele J. Chałasińskiego: *Szkoła w społeczeństwie amerykańskim*, Warszawa, 1936, 563—573.

¹⁰ Fakt niezmiernie charakterystyczny: istniały próby przenie-

sienia do Nowej Anglii wzorów feodalizmu angielskiego (przy czym próby te podejmowała elita kolonistów). Wysiłki te nie zostały uwiecznione powodzeniem: nieurodzajność gleby sprzyjała utrzymaniu równości i demokracji (Ch. and M. Beach: *The Rise of American Civilization I*, 54—55).

¹¹ „Z kurczeniem się możliwości oparcia systemu społeczno-politycznego na ślepym posłuszeństwie i tradycjonalizmie, znaczenie wychowania dla utrzymania się społeczności stawało się coraz większe. Trzeba dodać, że typ skupionego osiedla, stanowiącego jednostkę społeczną i administracyjno-polityczną, sprzyjał też uświadomieniu potrzeby szkolnictwa i ułatwiał jego zorganizowanie”. J. Chałasiński, j. w., 34.

¹² E. Boutmy: *Eléments d'une psychologie politique du peuple Américain*, Paris, 1912, 275.

¹³ E. W. Calhoun: *A Social History of the American Family from Colonial Times to the Present*. Cleveland 1919, II, 145.

¹⁴ Boutmy, j. w., 140.

¹⁵ Takim odruchem zbiorowym w obronie przeciwko samotności, panoszącej się w pustce, w której żyją farmerzy, wdzierający się w głąb dziewiczego ładu, są okresowe zjazdy religijne, „revivals”, obfitujące w momenty ekstazy zbiorowej. Niesłusznie jednak, moim zdaniem, J. Chałasiński (j. w., 83—89) przypisuje tej żywiołowej „towarzyskości” dzikiego pogranicza tak doniosłą rolę w kształtowaniu się „sąsiedzkości” amerykańskiej. Przecież już przed tym ukształtała ona właściwe podstawy w osiedlach Nowej Anglii, pomimo ich niewątpliwego oligarchizmu i braku szczerego demokratyzmu. „Pogranicze” zdemokratyzowało tylko te wzory.

¹⁶ Wszystkie elementy społeczne zwartej gminy religijnej istniały w Europie w okresie wojen religijnych (Max Weber: *Gesammte Aufsätze zur Religionssoziologie*, II wyd., t. I, cz. II). Niemniej nie znalazły podatnego rozwoju, nawet w Anglii, której demokratyzacja ulega zahamowaniu po upadku rewolucji i Cromwell'a.

¹⁷ Jedyną sektą, która uległa prześladowaniom (bardzo zresztą gwałtownym) byli Mormoni: zbyt jawnie gwałcili zasady moralności płciowej.

¹⁸ Max Weber, j. w., 210.

¹⁹ Max Weber, j. w., 211.

²⁰ Oto np. człowiek interesu, przybyły do niewielkiego miasta mówi o korzyściach, jakie uzyskał z tego, że stał się członkiem jednego z kościołów (R. S. i H. M. Lynd: *Middletown*, New York, 1929,

333). „Kościół uczynił bardzo wiele dla mnie; gdy tu przybyłem zapoznałem się za jego pośrednictwem z panami X, Y, Z: nie ma w mieście zdolniejszych od nich ludzi interesu“.

²¹ Najważniejsze z nich, to przeniesione z Anglii na początku XIX w. „Independent Order of Old Fellows“ (1819), „Ancient Order of Druids“ (1830) oraz „Ancient Order of Foresters“ (1832). Na gruncie amerykańskim powstał „Improved Order of Red Men“.

²² Albert Blumenthal: *Small-Town Stuff*. Chicago, 1932, 266.

²³ Konwencjonalizm na przykład silniej zaznacza się na zachodzie, w środowiskach bujniejszych pod względem gospodarczym i radykalniejszych bodaj społecznie, ale za to bardziej płynnych, niż na wschodzie. Związek płynności ludnościowej z konwencjonalizmem, czy raczej konformizmem, jest wręcz uderzający. Rudolf Heberle: *Ueber die Mobilität der Bevölkerung in den Vereinigten Staaten*. Jena 1929.

²⁴ Siłę działania tej opinii znakomicie odtwarza pisarz Sinclair Lewis w takich powieściach, jak *Main Street*, czy *Babbitt*.

²⁵ R. Mc. Kenzie: *The Metropolitan Community*, 1933, 156, stwierdził postępy w zakresie skupiania się ludności wzdłuż wybrzeży mórz i wielkich jezior (deep water rim). Oto w odległości 50 mil ang. od tych wybrzeży zamieszkiwało w 1900 r. — 36,6% ludności Stanów Zjednoczonych, w 1930 — 45,1% (j. w., 21).

²⁶ Liczba studentów na wyższych uczelniach amerykańskich wzrosła z 255.000 w 1910 do 839.000 w 1928 r. (R. Mc. Kenzie, j. w., 63).

²⁷ Liczba robotników przemysłowych spadła między 1919 a 1929 z 8.939.000 na 7.500.000, pomimo wzrostu produkcji.

²⁸ W większości miast amerykańskich zmniejszył się wydatnie odsetek osób, zatrudnionych w przemyśle, wzrósł natomiast udział pracowników handlowych. Oto np. (Mc. Kenzie, j. w., 113) odsetki ludności zawodowo czynnej zatrudnionej:

	w przemyśle		w handlu	
	1920	1930	1920	1930
New York	45,9	34,8	18,9	24,2
Chicago	49,0	40,1	20,7	23,1
Detroit	64,8	54,1	13,1	17,3
Los Angeles	36,6	27,0	21,6	26,9

²⁹ Liczbę akwizytorów-sprzedawców różnych artykułów obliczano w dobie „prosperity“ na 750.000 osób.

³⁰ Między 1920 a 1930 ludność miast wzrosła o 14,6 milionów osób, ludność wiejska nierolnicza o 3,6, ludność na fermach zmniejszała się o 1,2 milj. (*Recent Social Trends* I, 8).

³¹ Z pośród rdzennych Amerykanów (*native born of native parentage*) zamieszkiwało w miastach 29,7% w 1900, a 47,8% w 1930 (*Mc Kenzie, j. w., 34*).

³² Pomimo pojawiającego się ostracyzmu wobec potomków imigrantów, co tłumaczy się w znacznym stopniu groźbą współzawodnictwa z ich strony.

³³ Przepaść tę znakomicie uwydatnia Th. Dreiser w powieści: *The American Tragedy*.

³⁴ O wyższym poziomie wykształcenia wśród rdzennych Amerykanów świadczą dane spisu 1930 r. W grupie wieku 16—17 lat 61,0% młodzieży, której rodzice urodzili się w kraju, uczęszczało do szkół, gdy tylko 52,3% z rodzin imigranckich, w grupie wieku 18—20 lat odpowiednio 24,4% i 15,6% (*Recent Social Trends, I, 586*).

³⁵ Handel jest znacznie mniej narażony na bezrobocie od innych gałęzi pracy. Np. spis 1930 r. stwierdził 17,8% bezrobotnych w górnictwie, 13,3% w przemyśle przetwórczym, 7,6% w transporcie, a 3,6% w handlu.

³⁶ Znamienne jest to, że większość transakcji handlowych załatwia się w Stanach Zjednoczonych osobiście, unikając korespondencji w sprawach większej wagi. Wynika to z poczucia konieczności wejścia w bezpośredni kontakt osobisty z drugą stroną. Rozwój ściśnionych dzielnic interesów w wielkich miastach, a zwłaszcza rozbudowa drapaczy chmur wynika w dużym stopniu z owej potrzeby ciągłego osobistego porozumiewania się różnych ludzi interesu.

³⁷ Sprzedaż na raty sięga 12 do 15% ogólnych obrotów handlu detalicznego. Zwłaszcza jest znaczna tam, gdzie w grę wchodzi zakup samochodów (60% obrotów), oraz urządzeń domowych, a więc 50% przyrządów elektrycznych, 60% mebli, 75% aparatów radiowych. Kredyty konsumpcyjne wzrosły z 1 miliarda w 1910 r. do 7 w 1929 r. Poza tym krótkoterminowe pożyczki osobiste (przeważnie na cele konsumpcyjne) sięgały 4 miliardów w 1930 r. (*Recent Social Trends, II, 862*).

³⁸ Znamienne jest ubóstwo pierwiastków kultury ludowej. Tylko w górach Wirginii oraz w mniejszym stopniu w Tennessee i w Kentucky utrzymały się ślady śpiewów i tańców ludowych (mowa o ludności białej — artystyczne skłonności murzynów nie wchodzi tu w rachubę).

³⁹ Te rysy snobizmu amerykańskiego znakomicie zobrazował

Mark Twain w swoim Pretendencie z Ameryki (*The American Claimant*).

⁴⁰ Obecnie różnice te zacierają się coraz bardziej: nawet Boston „amerykanizuje” się w przyspieszonym tempie.

⁴¹ Porówn. artykuł p. t. Kultura Amerykańska. Wiedza i Życie, z. 8—9/1935.

⁴² Harvey Z o r b a u g h: *The Gold Coast and the Slum*, Chicago 1929, 87 i nast. Caroline W a r e: *Greenwich Village, 1920—1930*, Boston 1935. Porówn. również twórczość literacką pisarzy owej epoki, zwłaszcza Floyd Dell’a, u którego najsilniej występuje snobizm artystyczny.

⁴³ Naprzykład w zakresie swobody erotycznej, a także i zboczeń płciowych, H. Z o r b a u g h, j. w., 97—101.

⁴⁴ W ciągu ostatniego dziesięciolecia „bohemy” chylą się gwałtownie do upadku, H. Z o r b a u g h, j. w., 102.

⁴⁵ Mam tu na myśli słynny proces, który ortodoksi biblijni (t. zw. fundamentaliści) wytoczyli (pod naciskiem Ku-Klux-Klanu) w Dayton nauczycielowi za wykładanie uczniom teorii pochodzenia człowieka w ujęciu Darwina (A. Siegfried: *Les Etats Unis d’aujourd’hui*, Paris 1927, 58).

⁴⁶ B o u t m y, j. w., 272.

⁴⁷ Na tym tle wyrosła koncepcja popularnej w swoim czasie (ściśle w r. 1933) „technokracji”. Porówn.: Stuart C h a s e: *Technocracy: An Interpretation*, New York 1933.

⁴⁸ A. Siegfried, j. w. 26, zdaje się przecenia wpływ Żydów amerykańskich na wzmożenie tempa życia intelektualnego uniwersytetów. Bezwzględnie posiadają oni umysły żywsze i bardziej chłonne od rdzennych Anglosasów. Nie mniej jednak Żydzi odznaczają się również szczególną zdolnością do przystosowywania się do nastrojów otoczenia. Jednostki, wychowane w Ameryce, przewyższają rdzennych Amerykanów umiejętnością zareklamowania swojej wiedzy i imponowania nią, jednak nie posiadają już rzetelnych zamiłowań intelektualnych i widnokręgów filozoficznych, tak znamienitych dla Żydów europejskich, zwłaszcza niemieckich i rosyjskich.

⁴⁹ Znamienna jest niezdolność do szerszych konstrukcyj i uogólnień, znacznie bardziej rażąca u Amerykanów, niż u Anglików (choć ma zbliżone źródło w konstrukcji psycho-społecznej przedstawicieli obu narodów). Różnica między zasadniczymi odłamami cywilizacji anglosaskiej wynika z właściwego Amerykanom braku subtelniejszej kultury duchowej, która jest rozpowszechniona w społeczeń-

stwie angielskim. Jeżeli niektóre nauki rozwijają się w Ameryce z tak wielkim powodzeniem dla skarbnicy wiedzy ogólnoludzkiej, wynika to z bogactwa materiału eksperymentalnego, który uniwersytety i instytuty amerykańskie gromadzą, dzięki środkom, jakimi rozporządzają oraz dzięki sprawności w zakresie techniki eksperymentowania (Amerykanie są bardzo zdolni w zakresie wykonywania zadań czysto mechanicznych). Socjologia, która znajduje się zresztą w położeniu szczególnie uprzywilejowanym, zawdzięcza bardzo wiele uniwersytetom amerykańskim (zwłaszcza uniwersytetowi w Chicago, gdzie rozwinęła się t. zw. szkoła ekologii ludzkiej). I to nie tylko wskutek nagromadzenia bogatej (choć niezawsze inteligentnie dobranej) dokumentacji społecznej, ale przede wszystkim ze względu na właściwe Amerykanom wycucie realności zjawiska społecznego i więzi społecznej, wycucie, którego brakuje zindywidualizowanej, wykształconej w abstrakcjach filozoficznych świadomości socjologów europejskich. Socjologia amerykańska odmłodziła tę dziedzinę wiedzy, dotychczas niejako martwą już w swoich zaczątkach, i skierowała ją na właściwe tory badań nad żywymi sytuacjami społecznymi.

⁵⁰ Próbkę tonu, w jakim potrafią przemawiać najwybitniejsi profesorowie amerykańscy do publiczności za pośrednictwem gazet, znajdujemy w cytowanej już książce J. Chłasińskiego, 445—446.

⁵¹ Bystrość, zdolność wystąpienia się w sposób jasny i przekonujący szkoła wyrabia od lat najwcześniejszych. W przeciwieństwie do Anglików Amerykanie znakomicie panują nad językiem zarówno w mowie, jak w piśmie.

⁵² Odczytów i przemówień mówców o poglądach radykalnych młodzież wysłuchuje, lecz nie przejmuje się nimi głębiej. Dopiero ostatni kryzys, zamykający widoki kariery życiowej dla absolwentów wyższych uczelni, wzmógł nastroje opozycyjne wobec istniejącego systemu gospodarczego i politycznego i zrodził istotne sympatie dla komunistów (najsilniejsze zresztą wśród młodzieży pochodzenia żydowskiego).

⁵³ Oto przykład: prospekt 50-tomowego wydawnictwa Harvard Classics (15 Minutes a Day — Dr Eliot's Five Foot Shelf of Books) stale schlebia pragnieniu popisu. Zwłaszcza kobietom stara się wmówić, że staną się przez czytanie godne poznania, zdobędą bowiem umiejętność inteligentnej rozmowy (str. 21). Albo nieco dalej: „przyjemności króla do was teraz należą! Francuskie sztuki klasyczne odtworzone są obecnie w tej samej formie, w jakiej były przedstawione

wspaniałym królom, dla których przyjemności były napisane" (str. 27). Oto przykład zręcznej metody pobudzania naiwnej próżności społecznej przeciętnego Amerykanina: „królom staniesz się równym, gdy to przeczytasz!”

⁵⁴ Spośród 6.806 zbadanych osób, dojeżdżających do New Yorku z osiedli powiatu Westchester, czytywało po drodze 49⁰/₀. Z tej liczby na czytających gazety przypada 82⁰/₀, magazyny 10⁰/₀, książki zaledwie 8⁰/₀ (i tu przeważały zapewne powieści). G. Lundberg, M. Komarovsky i M. A. Mc Inerny: *Leisure, A. Suburban Study*, New York 1934, 46.

⁵⁵ L. Krzywicki: *Za Atlantykiem*, 1895, 149—151.

⁵⁶ R. Park: *The City*, Chicago, 1925, 93.

⁵⁷ Porówn. dane o rozpowszechnieniu gazety i rozmiarach koncernów prasowych, które podaje Wł. Wolert w *Demokracji i kulturze*, 1930, 207—210.

⁵⁸ Ch. M. Beach, j. w., I, 465.

⁵⁹ W. Wolert, j. w., 224.

⁶⁰ L. Krzywicki: *Za Atlantykiem*, 279, porównywa teatr amerykański z przed lat czterdziestu do bud na polu mokotowskim, t. j. popularnych widowisk ówczesnego proletariatu Warszawy.

⁶¹ G. Duhamel: *Scènes de la vie future*, 55—61.

⁶² W styczniu 1931 istniało w Stanach Zjednoczonych 22731 kinoteatrów z 11.300.000 miejsc. Liczbę widzów w ciągu tygodnia obliczano w 1930 r. na 115 milj., co niewiele ustępuje całej ludności Stanów Zjednoczonych (*Recent Social Trends*, II, 940).

⁶³ Oto w stosunku do wszystkich postaci w zbadanych utworach literackich (ogłoszonych w latach 1931—1932), przedstawione było przez autorów w sytuacjach rozgrzeszających pogwałcenie zasad monogamii: w magazynach o treści sensacyjnej 16⁰/₀ postaci, w czasopismach „intelektualnych” — 31⁰/₀, masowego obiegu 25⁰/₀. Natomiast w sztukach filmowych odpowiedni odsetek sięga 45⁰/₀ (*Recent Social Trends*, I, 419).

⁶⁴ Nawet drobne dziwactwa, uprawiane dla odprężenia od trudów i monotonii pracy codziennej czyli t. zw. hobbies są znacznie mniej samotnicze, niż np. w Anglii.

⁶⁵ Taki charakter mają specjalnie organizowane zebrania, na których pary oddają się pieszczotom: są to t. zw. petting parties. O potrzebie tłumnego podniecenia w erotyce świadczy fakt, że w takich zabawach biorą czasami również udział pary małżeńskie.

⁶⁶ Jednym z objawów chęci uwolnienia się z pod wszelkich

konwenansów jest również niezwykle popularny nudyzm. Moment niewyżycia erotycznego występuje tu niewątpliwie bardzo silnie.

⁶⁷ Porówn. moję artykuły: *Spekulacja terenowa w miastach amerykańskich*, *Samorząd Terytorialny*, I/1934, oraz *Rozpad sąsiedztwa w mieście amerykańskim*, *Przegląd Socjologiczny* 1—2/1935.

⁶⁸ Zwłaszcza uporczywi są pod tym względem Żydzi, którzy bardzo szybko zdołali wzbogacić się w czasie wojny i bezpośrednio po wojnie.

⁶⁹ L. Wirth: *The Ghetto*, Chicago, 1928, 247.

⁷⁰ Zorbaugh, J. W., 47—48. Charakterystyczny jest zanik przyjaźni, nawiązywanych z najbliższymi sąsiadami, R. Lynd, J. W., 273.

⁷¹ R. Heberle: J. W., 164—165.

⁷² Norman Haynor: *The Hotel — The Sociology of the Hotel Life*.

⁷³ Chodzi tu zwłaszcza o niedopuszczenie Żydów.

⁷⁴ W. Thomas i F. Znaniecki: J. W., II, 1167—1170.

⁷⁵ Potrawy można nabyć w stanie prawie gotowym w puszkach. Urządzenia malutkich kuchenek (*kitchenettes*) są tak udoskonalone, że gotowanie nie wymaga wiele wysiłku. Poza tym coraz szersze zastosowanie znajdują maszyny, ułatwiające utrzymanie mieszkania w czystości. Bieliznę oddaje się do pralni (*Recent Social Trends*, I, 665—667).

⁷⁶ Stąd żartobliwa nazwa dla takiego koczowania pod wspólnym dachem, zaczerpnięta ze słownika automobilisty: „*parking overnight*“.

⁷⁷ Badania, przeprowadzone w rodzinach pochodzenia amerykańskiego, pozwalają stwierdzić, że w mieście tylko w 10% rodzin czyta się biblię, a zaledwie 12% dzieci uczestniczy we wspólnych modlitwach rodzinnych, które dawniej były podstawowym ceremoniałem (*Recent Social Trends*, I, 674).

⁷⁸ Na przykład w Detroit na 3,9 małżeństw wypadał jeden rozwód, podczas, gdy w dziesięciu powiatach wiejskich stanu Michigan (w którym znajduje się Detroit) na 23,4 małżeństw.

⁷⁹ W pięciu stanach prawo pozwala na małżeństwo dziewcząt 12-letnich, w dziewięciu kobiety mogą wychodzić za mąż, mając lat 14. Pięć stanów wyznacza równie niską granicę wieku dla chłopców. W sześciu stanach dziewczęta w wieku lat 16 nie potrzebują zezwolenia rodziców przy zawieraniu małżeństwa. Stan Minnesota obniża ten wiek do 15 lat. W ogóle tylko 8 stanów wymaga zezwoleń rodi-

ców przy zawieraniu związków od dziewcząt niepełnoletnich, (natomiast aż 35 stanów od mężczyzn poniżej 21 roku życia). Zresztą w niektórych stanach, jak w Colorado, gdzie cenzus wieku jest dosyć wysoki (21 dla mężczyzn i 18 lat dla kobiet), zająście w ciążę prowadzi do małżeństwa z urzędu.

⁸⁰ H. H a n k i n s: Divorce. Encyclopedia of Social Sciences, V, 182.

⁸¹ Nie bez znaczenia jest tu fakt braku ciągłości zawodów w rodzinach: synowie obierają odmienny zawód, niż ojcowie, co zresztą wynika ze zmieniających się szybko warunków (P. S o r o k i n i C. Z i m m e r m a n: Principles of Rural — Urban Sociology, New York 1929, 257).

⁸² B e n L i n d s e y: Bunt młodzieży.

⁸³ W mniejszym stopniu cierpi na tej płynności katolicyzm, posiadający zwartą organizację kościelną, tylko ze względów formalno-prawnych rozbitą na pozornie samodzielne parafie. Wchodzą tu zresztą w grę inne jeszcze momenty, a mianowicie to, że kościół katolicki ogranicza się wyłącznie do żywiołu imigranckiego, oraz, że szkolnictwo parafialne od dziecka wdraża do praktyk religijnych i uznania siły organizacji kościelnej. A. S i e g f r i e d (j. w., 46—51), jako pisarz katolicki, przecenia znaczenie idealistycznych momentów w katolicyzmie amerykańskim.

⁸⁴ W 1927 r. dwiesięć czasopism przeprowadziło ankietę na temat wiary w podstawowe dogmaty religijne. Otrzymano 125.000 odpowiedzi (J. A. S p e n d e r: The America of To-Day, London, 1928, 121—122). 77% osób, które odpowiedziały, należało do gmin wyznaniowych. Ale 91% wierzyło w Boga, 88% w nieśmiertelność, 85% w boskość Chrystusa.

⁸⁵ Fakt znamieny, że wiele kościołów posiada zbyt małe budynki na pomieszczenie wszystkich „wiernych“, gdyby zechcieli zjawić się gremialnie na niedzielne nabożeństwo (G. L u n d b e r g, j. w., 198). W jednym z miast stanów środkowych (R. L y n d, j. w., 358) dokładne badania wykazały, że do kościoła uczęszczało 11% białych mężczyzn, a 18% kobiet.

⁸⁶ Katolicyzm nie wchodzi tu w rachubę, przede wszystkim dla tego, że jest religią najgorzej społecznie sytuowanego żywiołu imigranckiego, następnie, że obcy jest tradycjom anglosaskim, wreszcie, że poprzez hierarchię kościelną jest poddany władzy „europejskiej“ w osobie papieża.

⁸⁷ Wyjątkowo autorytet któregoś z miliarderów może przywró-

cię sytuację społeczną wyznaniu, któremu bogacz pozostaje wierny. Np. John D. Rockefeller popiera energicznie baptyzm.

⁸⁸ Nawet zdecydowani indyferenci, wzbogaciwszy się, stają się członkami dobrze widzianych kościołów. Na 1.000 mieszkańców Stanów Zjednoczonych znajdowało się w ramach organizacji kościelnej 219 osób w 1906 r., 232 w 1916 r., 234 w 1929 r. i 232 w 1932 r.

⁸⁹ W 1929 r. połączył się tedy kościół kongregacyjny z t. zw. chrześcijańskim (Christian Church). Dyskutowano również sprawę zespolenia kościoła Metodystycznego Episkopalnego z Prezbiteriańskim (Recent Social Trends, II, 1040). John D. Rockefeller jest jednym z gorących zwolenników unifikacji kościołów chrześcijańskich. Popiera on działalność Institute of Religious Research, gromadzącego materiały do tego zagadnienia.

⁹⁰ W skład jej nie wchodzi kościół katolicki i luterński.

⁹¹ H. P. Douglass: The City's Church, New York 1929.

⁹² G. Lundberg, j. w., 192.

⁹³ J. Chałasiński, j. w., Rozdz. XIII.

⁹⁴ Stąd często powtarzane określenie: non-sectarian. Nie mówię tu o licznych instytucjach katolickich, które podkreślają ze szczególną mocą swój charakter wyznaniowy.

⁹⁵ W 1929 r. 30 najbardziej wpływowych wyznań religijnych kontrolowało 452 kolegiów i uniwersytetów (w tym 163 było katolickich) na ogólną liczbę 1076 (Recent Social Trends, II, 1050).

⁹⁶ Tak na przykład przedstawia się inwentarz podstawowych udogodnień oświatowych i społecznych (educational and social facilities) w kościołach protestanckich St. Louis (H. Douglass: The St. Louis Church Survey, V, 102). W odsetkach ogółu kościołów posiadało: organy 83,30%, toalety 78,90%, kuchnie 79,80%, sale gimnastyczne 22,80%, aparaty projekcyjne kinematograficzne 17,50%, łazienki 15,80%, sale czytelniane 15,70% itd.

⁹⁷ Naogół wyniki instytucjonalizacji nie są współmierne do pokładanych nadziei, oraz czynionych wysiłków. Zwłaszcza młodzież nie daje się tak łatwo przyciągnąć: kluby sportowe przy kościołach są uboższe, nie mają tak dobrych boisk, jak szkoły, czy Y. M. C. A. (G. Lundberg, j. w., 215).

⁹⁸ Morrow Mayo: Los Angeles, New York, 1932, 269 i nast.

⁹⁹ Nie bez wpływu pozostaje chaos w zakresie organizacji władz lokalnych: na jednym terenie działa mnóstwo ciał samorządowych, pracujących od siebie niezależnie, a nawet współzawodniczących ze sobą. Poza tym władze Stanów starają się krępować działalność sa-

morządu większych miast. Ch. Merriam, S. Parrat i A. Lepawsky: The Government of the Metropolitan Region of Chicago. Chicago 1933.

¹⁰⁰ Większe ośrodki miejskie są przy tym stale krzywdzone przez rolnicze części Stanów w zakresie geografii wyborczej: większość ciał ustawodawczych złożona z przedstawicieli rolników utrzymuje przy rozdziale obwodów wyborczych stosunek ludności miast do innych okręgów z przed lat kilkunastu, byle tylko zmniejszyć udział tych miast w rządach. Oto na przykład Stany w 75% zamieszkałe przez ludność miejską liczyły w r. 1930 — 17,6% mieszkańców całego kraju, a tylko 15,8% przedstawicieli w kongresie. Jeszcze silniej upośledzenie to zaznacza się w wyborach do ciał ustawodawczych poszczególnych stanów. Np. w stanie Illinois w r. 1900 na jednego posła wypadło: 24,2 tys. mieszkańców miast, a 23,3 tys. mieszkańców wsi, w r. 1930 stosunek ten kształtował się odpowiednio: 52,4 tys. i 28,5 tys. Zasada proporcjonalności jest więc całkowicie zachwiana (Recent Social Trends, II, 1492—1493).

¹⁰¹ H. F. Gosnell: Getting Out the Vote. Chicago 1927.

¹⁰² R. Heberle, j. w., 183, widzi w tym zjawisku wpływ znacznej płynności ludnościowej.

¹⁰³ W. T. Colyer: Americanism, London, 1922, 14. Oto na przykład składka do Ku-Klux-Klanu wynosiła dol. 10; z tego werbownicy otrzymywali dol. 4 prowizji, a zarząd inkasował dol. 6. Jeżeli wziąć pod uwagę, że liczba członków organizacji sięgała 2,5 milionów, to z całą wyrazistością wystąpi zyskowność procederu promotorskiego w tej dziedzinie. Dość powiedzieć, że Hiram Evans odkupił posadę Cesarskiego Czarodzieja od swojego poprzednika za 300.000 dolarów.

¹⁰⁴ Jakkolwiek do ostatnich lat wzrasta liczba członków towarzystw wzajemnej pomocy, jednak najwyższy poziom popularności przekroczyły one już między r. 1890 a 1900. Trzy czwarte obecnych członków rekrutuje się z okresu, poprzedzającego rok 1900. Tylko cztery takie organizacje powstały między r. 1920 a 1930 (Recent Social Trends, II, 935—936).

¹⁰⁵ R. M. Lynd, j. w., 306.

¹⁰⁶ Już w r. 1910 powstał pierwszy związek Rotary-club'ów, lecz ruch zaczął czynić postępy dopiero około 1917 r. Między 1917 a 1929 r. liczba członków Rotary-club'ów wzrosła z 32 tys. do 144 tys., Kiwanis z 5,9 tys. do 103 tys., Lions z ośmiuset do blisko 70 tys. Pra-

wpodobnie organizacje te osiągają obecnie swój najwyższy stan rozpowszechnienia (*Recent Social Trends*, II, 936—937).

¹⁰⁷ Kluby wyłącznie rozrywkowe odgrywają coraz większą rolę w rozwiniętym życiu klubowym mieszkańców miast i przedmieść. W powiecie Westchester pod New Yorkiem spośród ogółu klubów, do których należeli miejscowi mieszkańcy, pracujący na miejscu, stanowią one 42%, w wypadku tych, którzy dojeżdżają do pracy do New Yorku odsetek ten wzrasta do 78% (G. Lundberg, 144).

¹⁰⁸ Rzecz oczywista, że w klubach amerykańskich nie panuje tak wyraźny nastrój niezwracania na siebie uwagi, jaki znamionuje kluby angielskie.

¹⁰⁹ Słusznie moment ten podkreśla G. Duhamel, j. w., 97.

¹¹⁰ Na fakt, że trzeba stosunkowo dłuższego czasu do zupełnej asymilacji w środowisku wielkomiejskim, zwracałem uwagę w artykule: *Miasto współczesne jako środowisko rozprzężenia społecznego*. Droga, Nr 1/1933, 83—84.

¹¹¹ Współdziałanie policji z wszelkiego typu organizacjami przestępczymi należy do zjawisk występujących notorycznie. F. Thrasher: *The Gang*, Chicago, 1927; 439, 453—456. W. Reckless: *Vice in Chicago*, Chicago, 1933, 83—90, 94. N. Thomas i P. Blanchard: *What's the Matter with New York*, New York, 1932, 146.

¹¹² Porówn. koncepcje odbudowy społecznej, wyłożone w niezmiernie popularnej po wojnie książce Miss M. P. Follett: *The New State*, New York, 1920.

¹¹³ Clarence Perry: *The Neighborhood Unit. Regional Plan of New York and Its Environs*, vol. VII.

¹¹⁴ Zwyczaj, nakazujący oddawać dzieci do szkół publicznych, w zasadzie świadczący o sile ideałów demokratycznych, prowadzi do powstawania sąsiedztw wyłącznych dokoła szkół najlepiej postawionych. Rodzice amerykańscy nie chcą pozwolić, aby dzieci ich przestały z młodzieżą proletariacką i imigrancką. Każda nowozałożona wzorowa szkoła na przedmieściu powoduje automatyczne wytwarzanie się nowego jednolitego i zorganizowanego sąsiedztwa. Każdy nowy budynek szkolny w mieście rodzi nową falę emigracji, kierującą się w jego okolice. Dodajmy, że w Stanach południowych, w których istnieją odrębne szkoły dla dzieci białych i czarnych, a element imigrancki jest mniej liczny, sąsiedztwa są znacznie mniej ruchliwe. Nawet bezpośrednia bliskość murzynów nie wywołuje odruchu niechęci, wobec tego, że można odgraniczyć się od nich murem ostracyzmu spo-

łecznego, w którym przymusowe obcowanie dzieci obu ras na ławie szkolnej nie stwarza szczyrb.

¹¹⁵ Jane A d d a m s: *Twenty Years at the Hull House*. Chicago, 1911, oraz *The Second Twenty Years at the Hull House (1909—1929)*.

¹¹⁶ H. Z o r b a u g h, j. w., 266—268.

¹¹⁷ Pierwszy ośrodek społeczny (social center) powstał w Rochester, Stan New York, w 1909.

¹¹⁸ Mowa tu o „surveys“ amerykańskich, w których próby zobrazowania nędzy na wzór odnośnych badań angielskich, ustępują w krótkim czasie dociekaniom nad lokalnymi potrzebami społecznymi. (Porówn. A. E a t o n: *A Bibliography of Social Surveys*, New York 1930, Part I).

¹¹⁹ Dotychczas tylko w Anglii zrozumiano w pełni wytyczne amerykańskich zasad odbudowy „Community“. Trzecia Międzynarodowa Konferencja Pracy Społecznej w Londynie specjalnie zajęła się sprowadzeniem całej akcji opieki społecznej i oświatowej na płaszczyznę sąsiedztwa. Porówn. broszurę: *Social Work and the Community*, London, 1934.

¹²⁰ Porówn. uwagi na temat dostarczenia maksimum wartości duchowych rozrywce u G. L u n d b e r g'a, j. w., 345, bardzo charakterystyczne dla bojowników renesansu kulturalnego w Stanach Zjednoczonych. Także mój artykuł: *Kultura amerykańska. Wiedza i życie* z. 8—9/1935, 121. Uwydatnił to zagadnienie J. C h a ł a s i ń s k i w wielokrotnie cytowanym tu dziele: *Szkoła w społeczeństwie amerykańskim*.

Stanisław Rychliński

URBANIZATION AND SOCIAL CHANGE
IN THE UNITED STATES

An Abstract

This essay is concerned with changes of the social organization caused by the mass migration of the native born American population from farms and small towns into large cities.

Great urban agglomerations in America grew steadily ever since the Civil War. However, the city population was predominantly recruited from among European immigrants who were engaged in the rapidly rising industry. The United States had no exodus ruralis of its own parallel to the growth of large scale capitalism. This mass migration did not begin before the second decade of the present century. The World War boom and the post-war prosperity were responsible for this rapid urbanization of the rural and the small town America.

Thus a complete change in the environmental conditions of the native American stock took place within a space of less than two decades. The transformation of social standards and attitudes is striking. What magnifies and intensifies these processes is the fact that they do happen hand in hand with deep economic changes in industry, more and more interested in the expansion of the markets. The dynamics of industrial growth are responsible for the rapid mechanization of the city environment and of the whole urban culture.

From a methodological point of view, the set of conditions, as they can be investigated into in the United States, are of an unprecedented value. In this case, a very deep insight into the correlation of the social change and of the almost revolutionary transformation of the milieu may be easily obtained.

The social tradition of the native white American population at the close of the XIX century was moulded by small town environment. It was permeated by a sense of mutual social interdependence which made the local community a strong unit, throbbing with life. The sociability and the spontaneous growth of all kinds of social ties were reconciled with the most „rugged individualism“ in the struggle for life and wealth. The economic pioneering, when not conducted in isolation on lonely farms, was tinged by a spirit of co-operation. Although everybody in a prairie town as well as in a mining camp was acting on his own behalf, to fill his own purse in the wild and often ruthless race for money, nevertheless a communal life prospered in this seemingly adverse environment. It is to be noted, that co-operation was to some extent a necessity in a new country. There sprang up cliques keeping secrets of opportunities and new openings for their own use. Also, the active personality of a pioneer was starving for a lively social intercourse which would counterbalance the heart rending atmosphere of loneliness in sparsely populated territories.

The background of the sociability of the XIX century America is as much economic as psychological. It is to be detected in the vital social traditions of religious communities brought across the Ocean by the Dissenters, and further evolved during the Colonial times into the New England village. The American democracy grew

out of sectarian communities. It bore (as even now it bears) traces of the close linking of members by strong bonds of religious affinity. In the course of time, these ties became more and more secularized as new interests developed within the communities.

The „Main Street“ continues to harbour old traditions of community life. Masonic lodges, provident orders and clubs take to some extent the place hitherto occupied by church or chapel. They by no means weaken but strengthen the vivid sense of the social interrelationship of all members of the community. The neighbourhood ties are amazingly strong and compelling in smaller towns despite constant shifts of a very mobile population. A prompt incorporation of the newcomers into the community is a test of the expediency of this system of sociability, so momentous for the economic efficiency of the westward movement of the Nation.

With the migration to large cities, the whole system of close social contacts is assailed from all quarters by difficulties. The struggle for life becomes more strenuous and absorbing. Moreover, it is carried on in an atmosphere of short lived personal contacts. Sometimes, outward appearances may be the same but the easy flow of sociability lacks the former genuineness. An average American businessman in a large city seems to be as friendly and sociable as his father used to be in a prairie town. However, the daily contacts are deprived of former stability. If, in bygone times, a man had to be „chummy“ with a few dozen of friends he met constantly, now he has to show the same free and easy manner to the thousands of people he encounters occasionally, never to see them again. The sociability runs into the small change of casual social intercourse. It becomes purely formal, withering from inside.

The mobility of the population and the complexity of the city environment, saturated with mechanical devices and ruled by the utmost economy of time, further reduce all durability in social contacts.

As to the urban culture, it is, same thing in America as elsewhere, saturated with individualism, and sometimes with anti-social elements. Moreover, the American civilization lacks many of the intellectual refinements which attenuate, if to a certain extent only, many of the nefarious effects of the rapid democratization of masses in the atmosphere of the nervous strain that dominates the urban milieu. The higher cultural attainments often permit an individual to bear the burden of the isolation of a lonely life in the city without incurring a more serious breakdown of his personality. Also, they may counterbalance the disorganizing effect of many forms of the mass production of culture which is growing commercialized and tries to stir the imagination of the crowds by all sorts of unhealthy sensationalism.

Especially, the press and the cinema have, in many instances, a pronouncedly deforming influence on the social attitudes of the city dweller, the city youth in particular. The state of their mind leads to a growing indifference to all manifestations of anti-social, if not to say criminal activity. What is more important still, is that the socialized forms of recreation yield to commercialized means of imparting strong thrills to masses that grow more and more accustomed to constant excitements easily reached. „Night life“ creates a double personality for people who may be respectable by day. Beneath the outward show of conformity to old ethical standards, there grows a complete indifference to all

moral aspects of everyday life in a keen, although hypocritically disguised, pursuit of thrill and pleasure.

At the same time, the traditional social institutions undergo a process of rapid disorganization. The neighbourhood shows all the signs of disintegration. The population is shifting and in no mood to abide by any stable local organization. The traditional one-family homes give way to large apartment houses where every trace of neighbourly life fades away in an atmosphere of anonymity. These impersonal ways are chosen by many who flee from the control exerted by the „Main Street“. This behaviour is perforce followed by others who can find no way out of the isolation and have to grow accustomed to it.

The family life is also subjected to disorganizing processes the origin of which is to be easily detected in a whole set of conditions overruling all traditional attitudes. The family loses its economic stability. The „home“ is supplanted by a mere camping place, a place to „park overnight“. Members of the family are attracted by other groups—clubs or parties of friends—and meet occasionally, in fact total strangers linked by sleeping accommodations and law.

At the same time, with the disappearance of other mutual interests, the problems of sex and sexual adjustment are becoming dominant. The clash is hardly to be avoided in an atmosphere of nervous strain and of restlessness pervading the city life. There is no organized body of social control to assist married couples in days of crisis, when the free play of their pent up emotions may wreck their lives irreparably. The Law facilitates the final disruption of the matrimonial ties by providing divorce.

It goes without saying, that family is still a working concern and exerts a powerful influence on daily life. But it lacks the coherence, the stability and the strong educational influence of former days. The school, a day school at that, develops the personality of the youth which is superficially sociable and devoid of deeper social urges.

The religious community has to cope with analogous difficulties. The appearances are as misleading here as in the field of other social activities. With the growth of general prosperity and the craving for respectability in multitudes advancing on the social scale, the church membership easily becomes a mark of social success. Thus, the membership of different denominations is by no means on the decline. Even the church and chapel attendance may grow (although Sunday mornings are increasingly given to outdoor recreation). However, the ties linking personal life with religious experiences, so strong up to the last generation, weaken perceptibly. There is little atheism in America. Divines, as well as the rivalist and theosophical hysteria find a strong appeal to easily excitable multitudes. But the interest thus awakened is of short standing. Most people are simply bored by manifestations of the religious spirit. They have other recreations, more bright and pleasure affording.

Even the so called institutional church seems to miss the point while trying to give people whatever they need in social activity, profane as it may be. It thrusts itself on individuals which are served much better to their taste by commercialized recreation, quite independent of all sense of social contrition, however tempered by the necessity of a liberal compromise.

The importance of lodges, orders, clubs and other

like societies, often displaying a rather bizarre ritualism so dear to the small town dweller in America, grow out of place in the city which can afford more powerful allurements. Another cause of a loss in vitality lies in the constantly shifting membership. Rotary clubs catering for strangers replace closely knitted lodges with their old-fashioned ceremonies.

The influence of city life and of the changes in the mentality of the city dweller are decidedly inimical to the survival of strong social bonds. A superficial sociability and a preference to move in crowds to avoid a too poignant sense of loneliness are still prevalent among American people. However, social attitudes have undergone a pronounced change. There is a growing distaste for closer social relationship. City dwellers lose the habit of joining groups of a more stable character and of subjecting themselves to the strict censure of their fellow members.

This individualization of social attitudes is due not only to external factors and to population mobility: it is a phenomenon of a psychological nature. It may be called the social sterilization of the human personality.

It is in the large city, that the dissolving influence of capitalism on all traditional ties has manifested itself to its full extent. Nowadays, the mechanistic order of things almost entirely moulds human activity without any stronger interference from customs and traditions. It gives a semblance of social orderliness, notwithstanding the mutual estrangement of individuals.

The individualization of social attitudes breaks, however, old notions of stability and of general social solidarity. The ideology of the different strata of American society ceases to be permeated by the same spirit of an optimistic provincial small bourgeoisie.

America is emerging from the stage of a „nation of villagers“ in a state of mental crisis which magnifies the difficulties encountered by the Nation while its economic and socio-economic structure has to adjust itself to entirely new conditions.

SPIS ROZDZIAŁÓW

Uwagi wstępne	3
Rozdział I. Ameryka doby partykularza	16
1. Geneza historyczna partykularza	16
2. Pierwiastki społeczne partykularza	24
a) Rodzina	24
b) Kościół	26
c) Życie polityczne	29
d) Łoże i stowarzyszenia	32
e) Sylwetka psychiczna Amerykanina doby party- kularza	34
Rozdział II. Przemiany gospodarcze i kulturalne	38
1. Urbanizacja „rdzennej” Ameryki	38
2. Nowe środowisko pracy	43
3. Kultura wielkomiejska	47
a) Pierwiastki kulturalne w dobie urbanizacji	47
b) Wiedza i uniwersytety	51
c) Rozrywka	59
Rozdział III. Przemiany więzi społecznej	73
1. Sąsiedztwo	73
2. Rodzina	79
3. Kościół	91
4. Życie polityczne	103
5. Życie stowarzyszeniowe. Łoże i kluby	106
Zakończenie. Procesy jałowienia społecznego	112
Przypisy	124
Streszczenie w języku angielskim: Urbanization and Social Change in the United States	137

KSIĘGARNIA

ANTYKWARIAT



N^o 187719



30301/2.